

ANTHONY HOROWITZ

Wróg publiczny numer 2

Przekład Maja Kittel

Dyktando z francuskiego

Peregrina Palisa nie lubiłem od samego początku. Każdy nauczyciel francuskiego ma w sobie coś wyjątkowego. Na przykład łupież, nieświeży oddech albo głupie nazwisko. Cóż, pan Palis łączył to wszystko. Na dodatek był przysadzisty, miał wielki brzuch, włochatą szyję i aparat słuchowy. Rozumiecie już chyba, że raczej nie wygrałby konkursu na Mistera Universum... o przepraszam, on powiedziałby *Combat Monsieur Univers*.

W naszej szkole uczył tylko przez trzy miesiące, jeśli uczeniem można nazwać jego szykany i sarkazm. Osobiście więcej nauczyłem się od francuskiej bułki. Pamiętam, jak wkroczył do klasy po raz pierwszy. Nigdy normalnie nie chodził. Poruszał nogami tak, jakby zapomniał, że są przyczepione do tułowia. Najpierw wyrzucał do przodu stopy, a reszta ciała próbowała za nimi nadążyć.

W końcu napisał swoje nazwisko na tablicy - bez imienia.

- Nazywam się Palis - powiedział. - P-A-L-I-S. Wymawia się „pali”.

Już wtedy czuliśmy, że mamy pecha. Znał nas dopiero trzydzieści sekund, a już zdążył zapisać swoje nazwisko, podać nam jego wymowę i przeliterować. Jeszcze chwila i kazałby je nam wyhaftować na mundurkach. Dalej mogło być już tylko gorzej.

Każdy najmniejszy błąd traktował jak osobistą zniewagę. Jeśli źle coś napisałeś, musiałeś to powtórzyć pięćdziesiąt razy. Jeśli źle coś wymówiłeś, czekała cię bardzo długa tyrada na temat torturowania języka. A potem Palis zaczynał torturować ciebie. Jego popisowy numer to było wykręcanie ucha. Co tu dużo gadać, francuskie rodzajniki śniły się nam po nocach, a francuskie wyjątki wyjątkowo dawały się nam we znaki. Po kilku miesiącach nauk pana Palisa płakałem nawet na widok francuskiego ciasta.

Kryzys nastąpił pewnego wtorkowego popołudnia w letnim semestrze. Na dyktandzie odwróciłem się i szepnąłem coś do kumpla. Nic specjalnie błyskotliwego. Po prostu chciałem się dowiedzieć, czy żeby dyktować po francusku, trzeba być francuskim dyktatorem. Na moje nieszczęście kumpel się roześmiał. Co gorsza, pan Palis go usłyszał. Odwrócił głowę tak

szybko, że omal nie zgubił aparatu słuchowego. Za to ja byłem zgubiony, bo jakoś od razu spojrział na mnie.

- Słucham, Simple? - powiedział.

- Tak, proszę pana? - zapytałem niewinnie.

- Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? Coś, z czego wszyscy mogliby się pośmiać?

Podszedł do mnie i czułem już, jak miażdży mi palcami lewe ucho.

- A jak jest po francusku „śmiać się”?

- Nie wiem, proszę pana - jęknąłem

- *Rire*. Czasownik nieregularny. *Je ris, tu ris, U rit...* Myślę, że powinieneś dzisiaj zostać po lekcjach, Simple. Zdaje się, że bardzo lubisz się śmiać, więc może odmienisz mi czasownik *rire* przez wszystkie czasy i tryby czasownika *rire*. Rozumiemy się?

- Ale proszę pana...

- Chciałbyś o tym podyskutować?

- Nie, proszę pana.

Nikt nie chciał dyskutować z panem Palisem. Oczywiście, o ile nie chciał spędzić reszty dnia na wypisywaniu wszystkich możliwych imiesłówów, a także różnych innych form czasownika *discuter*.

Tak oto w słoneczne popołudnie, zamknięty w pustej klasie, zmagalem się z odmianą czasownika „śmiać się”, choć wcale nie było mi do śmiechu. Za drzwiami tykał zegar. Do drugiej piętnaście uporałem się jakoś z czasem przyszłym. Natomiast moja własna przyszłość nie zapowiadała się zbyt ciekawie. Wtedy otworzyły się drzwi i do klasy weszli Boyle i Snape.

To byli ostami ludzie, których spodziewałem się tu spotkać. Ostatni, których chciałem spotkać - nadinspektor Scotland Yardu Snape i jego niezbyt urodziwy asystent Boyle.

Snape zawsze wyglądał bardzo niechlujnie, elegancją dorównywał Fredowi Flinstone’owi. Miał różową cerę i małe oczka. Gdyby postawić obok niego świnię w garniturze, nie odróżnilibyście ich od siebie, dopóki jedno nie zaczęłoby chrupkać. Boyle’a pamiętałem bardzo dokładnie. Czarne przyлизane włosy na głowie i bujne na klatce piersiowej, zbudowany jak bokser - trudno powiedzieć, pięściarz czy pies. Boyle kochał przemoc i nienawidził mnie. Miałem dopiero trzynaście lat, a on najwyraźniej postawił sobie za punkt honoru, że nie dożyje czternaście.

- Proszę, proszę - mamrotał Snape. - Znowu się spotykamy.
- Ja chyba śnię - powiedziałem. - Niech mnie ktoś uszczypnie.
- Ja mogę. - Oczy Boyle'a błysnęły, kiedy ruszył w moim kierunku.
- Nie teraz, Boyle - warknął Snape.
- Przecież on sam powiedział...
- To tylko taki zwrot retoryczny.

Boyle podrapał się po głowie, próbując zrozumieć, o co chodzi. Snape usiadł na biurku i wziął moje ćwiczenia.

- Co to? - zapytał.
- Francuski - odparłem.
- Taa? Dla mnie to wszystko chińszczyzna. - Odrzucił książkę i zapalił papierosa. - Jak leci? - mruknął.

- A co tu robicie? - uciałem. Coś mi mówiło, że nie przyszli zapytać o moje samopoczucie. Snape i Boyle nigdy nikogo nie odwiedzali bez powodu.

- Musieliśmy się z tobą zobaczyć.
- W porządku, no to zobaczyliście się. Czyli mogę już... - Sięgnąłem po plecak.
- Nie tak prędko, mały. Nie tak prędko. - Snape strącił popiół do kałamarza.
- Ja i Boyle... no cóż... bardzo potrzebujemy twojej pomocy.
- Mojej pomocy?

Snape przygryzł wargę. Widziałem, że nie ma specjalnej ochoty o cokolwiek mnie prosić. I dobrze rozumiałem dlaczego. Byłem tylko dzieckiem, a on wielką szychą ze Scotland Yardu. Mimo woli zraniłem jego zawodową dumę. Boyle oparł się o ścianę i jęknął. On z kolei najchętniej zraniłby mnie.

- Słyszałeś o Johnnym Powersie? - zapytał Snape. Pokręciłem głową.
- Nie, a powinienem?
- W kwietniu pisali o nim w gazetach. Na pierwszych stronach. Właśnie go wsadzili, dostał piętnaście lat.

- To fatalnie.
- Owszem, szczególnie że sam dopiero tyle ma. - Snape wypuścił dym z płuc. - W prasie nazwali go Wrogiem Publicznym Numer 1 i chyba raz w życiu się z nimi zgodzę. Johnny wcześniej zaczął...

- Jak wcześniej?
- Podpalił przedszkole. Pierwszy napad z bronią w ręku zaliczył w wieku ośmiu lat. Wyniósł wtedy cztery pudła marsów i sto litrów oranżady. Jako trzynastolatek został szefem

gangu. Nazywali się Dzieci-Proce, zabawne, bo używali obrzynów - no wiesz, spiłowanych rewolwerów. To był bardzo niebezpieczny gang.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

- A co mnie do tego? - zapytałem.

- Przymknęliśmy Powersa w zeszłym roku. Złapaliśmy go na gorącym uczynku, próbował buchnąć kolekcję ciuchów za milion funtów. Jakby się dobrze przyłożył, zwinąłby cały sklep. Dobrze, że nigdy nie przyszło mu to do głowy.

- No więc go macie - powiedziałem. - O co wam jeszcze chodzi?

- Chodzi nam o gościa, dla którego kradł tamte ciuchy. - Snape wrzucił peta do kałamarza. Pet zasyczał cicho. Zresztą nie wiem, może to Boyle zasyczał. - Ksywa Parkan - ciągnął Snape. - Paser, skupuje i rozprowadza kradziony towar z całej Anglii... i prawie całej Europy. Rozumiesz, Nick, przestępstwa to wielki biznes. Kradzieże, włamania, porwania, wymuszenia... każdego roku znikają stosy różnych rzeczy. Srebrne świeczniki. Szkocka whisky. Japońskie hi-fi. Co tylko chcesz. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że ktoś stworzył gigantyczną sieć skupu i sprzedaży kradzionego towaru.

- Został... kimś w rodzaju hurtownika?

- Właśnie, właśnie. Może to hurtownik. Może bankier. Albo ktokolwiek inny. Sam nie brudzi sobie rączek, ale ma powiązania z każdym gangiem po tej stronie Atlantyku. Pomyśl, co by nam mógł wyśpiewać! Roznieślibyśmy ten podziemny światek w drobny mak. Ale gość jest niewidzialny. Nie wiemy, jak wygląda. Nie wiemy, gdzie mieszka. Znamy tylko jego ksywkę. A strasznie chcemy go dorwać.

- Chcemy go dorwać - powtórzył Boyle.

- Chyba mniej więcej zrozumiałem. - Odwróciłem się do Snape'a. - Ale dlaczego nie zapytacie tego Powersa?

- Już go pytaliśmy. - Snape zapalił kolejnego papierosa. - Zaproponowaliśmy mu darowanie połowy wyroku w zamian za nazwisko. Ale Powers to świr. Odmówił.

- Honorowy złodziej - mruknąłem.

- Gdzie tam - powiedział Snape. - Powers sprzedałby własną babcie, gdyby tylko znalazł się kupiec. Nawet już to zrobił. Biedaczka pracuje teraz w arabskiej kopalni soli. Ale nigdy nie sprzedałby nikogo policjantowi. Nienawidzi policjantów. Nic nam nie powie. Może chlapanąłby nazwisko komuś zaufanemu. Komuś, z kim by się zaprzyjaźnił...

- Do czego zmierzacie? - zapytałem. Zaczynałem się czuć nieswojo.

- Johnny Powers ma piętnaście lat - ciągnął Snape. - Na więzienie za młody, ale do zwykłego poprawczaka też się nie nadaje. Wylądował w specjalnym ośrodku o zastrzyżonym

rygorze, tuż pod Londynem, w Strangeday Hall. Takie specjalne miejsce dla młodych kryminalistów. Żaden nie ma jeszcze osiemnastu lat. Ale każdy jest już zatwardziałym przestępcą.

- Chwila! - Aż się zachłysnąłem. - Ja nie jestem kryminalistą. A już tym bardziej zatwardziałym. Jestem mięczakiem. Lubię zabawki i kreskówki. I...

- Damy ci nowe nazwisko - przerwał mi Snape. - Nową tożsamość. Posadzimy cię w jednej celi z Powersem. I wypuścimy cię, jak tylko wyciągniesz z niego to, co chcemy wiedzieć. Raz-dwa i wrócisz do szkoły.

Z deszczu pod rynną, pomyślałem. Ale nawet gdybym mógł przeskoczyć cały semestr, i tak bym nie skorzystał z propozycji. Powers może i był stuknięty, ale na pewno nie bardziej niż ten pomysł.

- Czyja dobrze rozumiem? - spytałem z niedowierzaniem. - Chcecie mnie zamknąć razem z jakimś młodocianym Alem Capone w więzieniu o zaostrzonym rygorze gdzieś na obrzeżach Londynu. Mam się z nim zaprzyjaźnić, najlepiej gdybym zdążył, zanim poderżnie mi gardło. I dowiedzieć się, kim jest ten cały Parkan, żebyście mogli go zamknąć.

- No właśnie. - Snape uśmiechnął się. - Co ty na to?

- Wybij to sobie z głowy! Absolutnie nie! Chyba ci odbiło, Snape! Nawet za milion funtów!

- Czy mam to uznać za odmowę? - upewnił się Snape. Wziąłem torbę i wstałem. Pan Palis i jego czasowniki nieregularne mogą sobie poczekać. Chciałem się jak najszybciej stamtąd wydostać. Ale w tym samym momencie przed nosem wyrósł mi Boyle, blokując wyjście. Wyraz jego twarzy powstrzymałby nawet deszcz.

- Ja go przekonam, szefie - powiedział.

- Nie, Boyle...

- Ale...

- On już zdecydował.

Snape zsunął się z biurka. Boyle wyglądał tak, jakby za chwilę miał eksplodować, ale nie próbował mnie zatrzymać, kiedy sięgałem do klamki.

- Daj znać, gdybyś zmienił zdanie - wymamrotał Snape.

- Nie licz na to - odparłem.

Zostawiłem ich i poszedłem do domu. Nie sądziłem, że jeszcze się odezwą... Przecież powiedziałem, co sądzę o tym pomysle. Wyobrażałem sobie, że po prostu zapomną o mnie i poszukają innego naiwnego dzieciaka.

Mylilem się.

Szkarłatny paw

Wróciłem akurat w porze obiadu. To nie jest twoja ulubiona pora, jeśli na okrągło żywisz się fasolą.

Wciąż mieszkalem z moim starszym bratem, Herbertem. Naprawdę nazywa się Herbert Timothy Simple, ale nigdy się do tego nie przyznaje. Woli być Timem Diamentem. I to właśnie napisał na drzwiach - TIM DIAMENT SP. Z O.O. PRYWATNY DETEKTYW. Wciąż spłacaliśmy farbę. Timowi udało się rozwiązać do tej pory aż jedną sprawę - oczywiście to ja odwałem za niego całą robotę. Wprawdzie dostaliśmy trochę grosza, ale wszystko poszło na wyjazd na narty i rachunki za leczenie nogi, którą złamał Tim. Jasne, mieliśmy ubezpieczenie, tylko że to była cudza noga. Resztę wydaliśmy na nowe meble i dywany do mieszkania. I teraz znów byliśmy całkiem goli.

Tego dnia w roli obiadu wystąpiły grzanki z fasolą. W sobotę jedliśmy fasolę, w niedzielę również. W poniedziałek zacząłem protestować, więc Tim przyrządził grzanki z fasolą - ot tak, dla odmiany. W szafce stało jeszcze szesnaście puszek. Martwiłem się, co będzie, kiedy skończy nam się pieczywo. Choć prawdę mówiąc, to raczej pieczywo - obeschnięte i lekko zielonkawe - zamierzało skończyć z nami.

W holu czekały na mnie dwa listy. Jeden z biblioteki - przetrzymana książka. Przetrzymałem ją o trzy miesiące i teraz kara wynosiła więcej niż cena nowej książki w księgarni. Tytuł: *Jak zarobić w wolnym czasie*. Najwyraźniej niespecjalnie mi pomogła. Drugi list miał znaczek z Australii. Usłyszałem, jak Tim gwizdże w kuchni. Mój brat był mniej więcej tak muzykalny jak czajnik. Zabrałem list do pokoju, rzuciłem torbę na podłogę, a sam padłem na łóżko. Potem zacząłem czytać.

Najdroższy Nicky!

Piszę króciutko, bo właśnie wybieramy się z tatusiem na piknik. Wydaje go jakiś współpracownik tatusia, który sprzedaje drzwi. Waśnie wstawili mi troje nowych drzwi do sypialni, co wygląda dosyć dziwnie, bo one donikąd nie prowadzą, file znasz swojego ojca - on po prostu kocha drzwi.

Mam nadzieję, że dobrze się miewasz. Bardzo tęsknię za tobą i żałuję, że cię tu nie ma. Ha pewno podobałoby ci się w Australii. Słońce świeci bez przerwy (oprócz nocy) i jest tu mnóstwo miłych ludzi. Pamiętaj, żeby zmieniać spodenki raz w tygodniu? Następną pocztą przyślę ci trzy paru prosto z Australii, tylko nie włóż ich na lewą stronę!

Żałuję, że nie mogę do was przyjechać, ale jestem strasznie zajęta w związku z malutką, damy jej na imię Dora.

Trzymaj się ciepło, skarbie.

Twoja mamusia.

Biedna Dora. Gdyby wiedziała, co ją czeka, poradzkowałyby prosto do sierocińca. Nie żeby z moimi rodzicami było coś nie w porządku. Ale wiecie, jak to jest. Uczesz się. Umyj zęby. Nie garb się. Nie mów z pełną buzią. Moim życiem rządziło więcej praw i nakazów, niż zawierał kodeks cywilny. Nie mogłem nawet zakaszleć, żeby nie podpaść pod paragraf trzeci, punkt piąty Artykułu o Wychowaniu Dzieci. Kiedy moi rodzice emigrowali do Australii, ja zdecydowałem się zostać z Timem. Nie miałem większego wyboru.

Wrzuciłem list do szuflady i wszedłem do kuchni. Kiedy tylko otworzyłem drzwi, poczułem dziwny zapach. Każda woń niezwiązana z fasolą wydałaby się podejrzana, ale to? Albo ja oszalałem (z głodu), albo to pachniała smażona cebulka.

Tim stał przy kuchni w różowym fartuchu, mieszając coś na patelni. Zerknąłem na stolik. Z dwóch pękatych toreb wysypywały się rzeczy, o których mogłem co najwyżej śnić, gdybym nie był zbyt głodny, żeby zasnąć. Herbatniki, ciastka, kielbaski, jajka, jabłka, pomarańcze...

- Co się stało? - spytałem. - Niech zgadnę. Wygrałeś na loterii? Zjawiała się Armia Zbawienia? Przyznali ci zasiłek? - Chwyciłem jabłko. - To jakiś cud.

- Jaki cud? - odparł oburzony Tim. - Dostałem pracę.

- Czyli jednak cud. To znaczy... ktoś ci zapłacił?

- Od dzisiaj jestem oficjalnie zatrudniony przy poszukiwaniach Szkarłatnego Pawia. - Tim spojrzał na patelnię. - Jaki życzysz sobie befsztyk? Krwisty czy wysmażony?

- Duży - odpowiedziałem.

Dziesięć minut później rekompensowaliśmy sobie tydzień postu. Są chwile, kiedy naprawdę podziwiam mojego wielkiego, niebieskookiego brata. To nic, że nie potrafi rozwiązać nawet krzyżówki, a co dopiero zagadki kryminalnej. Co z tego, że z trudem wiąże sznurowadła i boi się ciemności. Mieszkaliśmy razem już od trzech lat i naprawdę mogło być gorzej. I już wkrótce zrobiło się o wiele gorzej, ale oczywiście wtedy jeszcze niczego nie podejrzewałem.

- Co tam słyhać w Australii? - spytał, pochłaniając pudding czekoladowy.

- Nic ciekawego - odparłem.

- Mama przysłała ci jakieś pieniądze?

- Nie. Ale zamierza przysłać mi spodenki.

- Spodenki! Też coś. - Tim potrząsnął głową. - To jak policzek.

- Chyba raczej pośladek. - Dokończyłem pudding i odrzuciłem łyżeczkę. - Ale właściwie o co chodzi z tym Szkarłatnym Pawiem?

- Muszę go znaleźć - wyjaśnił Tim. - Zniknął.

- Z zoo?

- Z muzeum. - Tim uśmiechnął się. - To nie zwierzak, to waza.

Zgarnął talerze na jedną stronę i otworzył swój notes. Przymrużył oczy, a usta rozciągnął w cienką kreskę. Jego zdaniem tak wyglądał prawdziwy prywatny detektyw. Sam nie wiem, kogo chciał nabrać. Bo mnie chyba by nie próbował.

- To waza z czasów dynastii Ming - ciągnął. - Wysoka na jakieś dwadzieścia centymetrów, biało-niebieska, ze szkarłatnym pawiem namalowanym po jednej stronie. Pochodzi z piętnastego wieku. Wykonano ją dla cesarza Czeng Hua.

- Czeng Buła? - upewniłem się.

- Nie. Czeng Hua. - Tim oparł się na krzesło, wylewając sobie colę na koszulkę. - Jest bezcenna. Wcale nie czaruję. Istnieje tylko jedna taka waza na świecie. Warta tysiące. Przez ostatnie siedemnaście lat stała na wystawie w British Museum. Tydzień temu wysłano ją do oczyszczenia. Sęk w tym, że nigdy tam nie dotarła. Zapakowano ją do ciężarówki dokładnie o dziewiątej trzydzieści pięć.

- A kiedy ciężarówka przyjechała na miejsce...

- Nie przyjechała. Zniknęła bez śladu. Kierowca zatrzymał się na stacji w Camden. Poszedł zapłacić za benzynę. Kiedy wrócił, samochodu już nie było.

- I wazy też.

- Zgadza się.

- Dlaczego muzeum nie zwróciło się do policji? - spytałem. - Czemu przyszli do ciebie?

- Wstydzą się iść na policję, Nick. Ta waza to naprawdę drogie cacko. Muzeum chce ją odzyskać. Ale w żadnym wypadku nie życzy sobie skandalu. - Uśmiechnął się krzywo. - Świetnie się do tego nadają. Będą mieli tę swoją bezcenną wazę. Już ja ją im załatwię.

- Nie wątpię - mruknąłem. Tim nalał sobie jeszcze jedną colę.

- Ile ci zapłacili? - spytałem.

- Dwie stówy zaliczki. - Uśmiech powrócił na twarz Tima. - Plus pięćdziesiąt funtów kieszonkowego dziennie.

- Pięćdziesiąt funtów!

- Mam spore kieszenie - odparł, wzruszając ramionami.

- To wspaniale. - Kiedy to mówiłem, coś mi zaczęło chodzić po głowie. Ale nie myślałem o wazach.

Szykowała nam się wycieczka szkolna do pałacu i rezerwatu przyrody w opactwie Woburn. Nie przepadam za pałacami. Drażnią mnie te wszystkie stare zbroje i drętwe, smutne obrazy malowane przez równie drętwych i smutnych malarzy - ale rezerwat to co innego. Karmienie lwów starymi pączkami, porozumiewawcze uśmieški z żyrafą. Był tylko jeden problem - musieliśmy pokryć koszty, po trzy funty na głowę. Nie pojechałem już ani do Hampton Court, ani do obserwatorium w Greenwich i klasa zaczynała mnie traktować jak sierotę z domu dziecka. Urządzili nawet zrzutkę na moją rzecz. Nie żebym potrzebował zrzutki, ale przecież liczą się dobre chęci.

- Tim - wymamrotałem.

- Tak?

- Skoro masz teraz trochę kasy, może mógłbyś pożyczyć mi piątaka?

- Piątaka?

- No wiesz, na opactwo Woburn. Ta wycieczka...

- Dobra - odparł Tim po namyśle. - Ale ty zmywasz naczynia.

Rzucił zwiniętą piątkę na stół. Tak dawno nie widziałem banknotu pięciofuntowego, że nie pamiętałem nawet, jaki ma kolor.

- Tysiącrotne dzięki - powiedziałem, żałując, że nie mam całego tysiąca. Wsunąłem piątkę do kieszeni bluzki. - No to kiedy wyruszasz po tego pawia?

- Jutro. - Tim uniósł szklankę. - Chyba pojedę do Camden. Poszukam kogoś z tej stacji.

- A potem?

- Pociągnę go za język.

Wypił colę jednym haustem. To chyba miał być dramatyczny gest, ale coś najwyraźniej się nie udało, bo po chwili wybiegł do łazienki z purpurową twarzą.

Patrzyłem na brata. W całym tym zamieszaniu nie powiedziałem mu o Snapie i Boyle'u. Właściwie sam już chyba o nich zapomniałem.

Opactwo Woburn

I tak właśnie znalazłem się na autostradzie M1, którą sunęliśmy w kierunku opactwa Woburn z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Trzydziestu ośmiu chłopaków w towarzystwie dwóch nauczycieli. Jednym z nich był mój przyjaciel, pan Palis.

Drugi, leciwy pan Roberts, uczył historii. Uczył jej już od tylu lat, że chyba w większości wydarzeń uczestniczył osobiście.

Wszyscy dostaliśmy suchy prowiant, który zdążyliśmy zjeść, zanim jeszcze wyjechaliśmy na autostradę. Po autokarze walały się szeleszczące torebki, papierki od cukierków, okruchy ciasta. Kierowca wyglądał mniej więcej tak, jakby prowadził karawan. Udało mi się zdobyć miejsce w tylnym rzędzie, gdzie robiliśmy miny do przejeżdżających aut, czekając niecierpliwie, które z nich spowoduje w końcu karambol. Opactwo Woburn dzieliła od Londynu godzina drogi. Pierwszy kwadrans wykorzystał pan Roberts, karmiąc nas krótką historią pałacu. Potem Palis przetłumaczył ją na francuski. Nikt nie słuchał. Świeciło słońce. Gdybyśmy mieli ochotę na wykład, zostalibyśmy w szkole.

Wreszcie zjechaliśmy z M1. Po przebicciu się przez kilka polnych drózek i przejechaniu kilku wiejskich jeży dotarliśmy do opactwa. Jeden znak wskazywał drogę do pałacu, drugi do parku safari. Rzecz jasna wybraliśmy pierwszą trasę. Podnosząc się z siedzenia, poczułem, że coś uwiera mnie w nogę. Ktoś zostawił wciśniętą w szparę procę - tanią, plastikową zabawkę. Bezmyślnie wsunąłem ją do kieszeni. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, miałem przy sobie tylko to i resztę z piąta Tima.

Autokar stanął na parkingu. Już wrywaliśmy się do wyjścia, kiedy zatrzymała nas uniesiona ręka Palisa.

- Panowie... - zaczął.

Rozejrzałem się. Widziałem trzydziestu ośmiu chuliganów, ale z pewnością żadnego „pana”.

- Chciałbym tylko przypomnieć - ciągnął - że znajdujemy się na wycieczce historycznej. Opactwo Woburn to pałac, a nie park rozrywki. Markiz i markiza Tavistock są tu w tej chwili obecni. Zatem jeśli dojdzie do jakichś uchybień lub wygłupów z waszej strony, zajmę się tą sprawą osobiście.

Jego ręka wystrzeliła tak szybko, że chłopiec o imieniu Sington fiknął koziółka.

- I żadnego zucia gumy w czasie wycieczki - dodał Palis z cierpkim uśmiechem.

Po tej przemowie wygramoliliśmy się z autokaru niczym stado pokornych owiec. Nawet stary Roberts bał się Palisa. Parami powlekliśmy się krętą ścieżką, minęliśmy restaurację i przekroczyliśmy bramę. Afisz nad kasą głosił:

WYSTAWA OKOLICZNOŚCIOWA KARBUNKUŁY Z WOBURN

GABLOTY SALONU PAŁACOWEGO

- Proszę pana, co to jest karbunkuł? - zapytał ktoś.

- To taki klejnot - odszepnął pan Roberts, łypiąc nerwowo na Palisa. - Całkiem spory. Na ogół jest czerwony i...

- Nie rozmawiać! - warknął Palis.

Pan Roberts zadrżał. Sington kaszlnął dziwnie, starając się pozbyć gумы, która utkwiała mu w gardle. Palis stapał dostojnie naprzód. Naprawdę świetnie się bawiliśmy.

Nie jestem najwłaściwszą osobą, która mogłaby opisać pałac. Jeśli o mnie chodzi, wystarczy zobaczyć jeden, a jakby się widziało wszystkie. Nie sądzę, żebym dużo stracił, gdybym nie zobaczył żadnego. Jasne, gobeliny, obrazy i żyrandole są bardzo przyjemne, jeśli lubisz takie rzeczy w swoim salonie. Ale kiedy tylko gapisz się na nie, snując się wzdłuż czerwonego sznura... Kolejna piękna kolumnienka naprawdę mnie nie obchodziła, nawet jeżeli trzysta lat temu obchodził ją sam Karol I Stuart.

Znudziła mnie czytelnia, na schodach zacząłem ziewać, a i w bawialni też się specjalnie nie ubawiłem. Nie uwierzylibyście, ile tam było rzeczy. Obrazy, lustra, zegary... nazywają się tak i siak, w tym a tym roku zostały kupione... Kiedy dotarliśmy do sypialni królowej Wiktorii, marzyłem wyłącznie o położeniu się do łóżka. Nawet gdyby staruszka ciągle tam leżała.

Nasz spacer po domu obserwowały zabytkowe damy siedzące na równie zabytkowych fotelach. Stanowiły jedyną widoczną ochronę i wyglądały mniej więcej tak groźnie jak paczka żelowych misiów. Połowa robiła na drutach. Druga połowa uśmiechała się słodko i mrugała zza rogowych oprawek binokli. Kiedy jednak zbliżaliśmy się do Wielkiego Salonu, przy drzwiach zauważyłem dwóch umundurowanych ochroniarzy. Jeden z nich potrącił mnie, kiedy wchodziłem. Jakoś nie przeprosił.

Wielki Salon przypominał wszystkie inne pokoje w tym pałacu. Jedno mu trzeba przyznać - rzeczywiście był wielki. Dominował w nim błękit - niebieskie krzesła i sofy współgrały z niebieskimi freskami. Ale to, czego strzegli ochroniarze, wcale nie było niebieskie, tylko czerwone i błyszczące. W szkatule na środku salonu leżał ich tuzin. Karbunkuły z Woburn - całkiem ładne i warte sporo grosza.

- Markiza Tavistock znalazła je na strychu - powiedział Roberts.

Szcęściara, pomyślałem. Na naszym strychu mogliśmy znaleźć najwyżej wióry.

- Czyż nie są piękne? - zagaił pan Roberts.

- Tędy proszę! - krzyknął po swojemu Palis. Poszliśmy za nim.

Wychodziłem z salonu ostatni. Z jakiegoś powodu nikt już za mną nie stał. Wydało mi się to dziwne. Wałęsało się tu sporo turystów, w każdej poprzedniej sali widzieliśmy co

najmniej dwudziestu zwiedzających, a teraz nagle wszyscy zniknęli. W tym samym momencie usłyszałem trzask rozbijanej szyby i nagły terkot dzwonka. Odwróciłem się.

Niemożliwe! Jeszcze przed chwilą patrzyłem na przeszkloną gablotę z dwunastoma czerwonymi karbunkułami. Teraz zobaczyłem strzaskane szkło pokrywające jedenaście klejnotów. Oprócz strażników w pokoju nie było nikogo. Alarm wciąż wył. Ktoś właśnie ukradł część kolekcji z Woburn. Wiedziałem, że to nie ja, a strażnicy przecież nie mogli tego zrobić, czyli...

- Spokojnie, synusiu. Nie ruszaj się...

Dwóch strażników szło w moim kierunku, potłuczone szkło chrzęściło im pod butami. Zerknąłem przez ramię. Dzieciaki z całej szkoły tłoczyły się w korytarzu, wlepiając we mnie gały.

- Co się dzieje?! - zawołał ściśnięty gdzieś z tyłu Palis.

- Oddaj go, synu - wymamrotał jeden z ochroniarzy, wyciągając dłoń. Poruszał się bardzo wolno, jakbym był niebezpiecznym przestępcą czy coś takiego. - Nie uda ci się.

- Co mi się nie uda? - pisałem. Głos wdrapał się po moim nosie i schował gdzieś za uszami.

Wepchnąłem szybko ręce do kieszeni, żeby im pokazać, że nic nie mam, że to wszystko jakaś koszmarna pomyłka. Ale zanim wykrztusiłem słowo, poczułem na dłoni coś zimnego i okrągłego. Kiedy to wyjąłem, błysnęło w słońcu.

- Co do...?! - wykrzyknął Palis.

- Chwileczkę... - powiedziałem.

Ale nikt nie zamierzał tak długo czekać. Gdyby Palis mnie nie dorwał, zrobiliby to ochroniarze. Dzwonek wciąż terkotał, a ja słyszałem nowe głosy w korytarzu. Minęło może pół sekundy - wystarczająco długo, by błyskawicznie sobie wszystko odtworzyć i podjąć jeszcze bardziej błyskawiczną decyzję. Wrobili mnie. Ktoś wrzucił mi klejnot do kieszeni. Ale kto? Pamiętałem, jak potracił mnie strażnik, kiedy wchodziliśmy do salonu. Ten sam strażnik, który był teraz o dwa metry ode mnie i szybko się zbliżał. To nie miało sensu. Ale nikt inny nie mógł tego zrobić. Stał w tym pokoju. Widział...

Szybka decyzja! Wcisnąłem klejnot z powrotem do kieszeni i wybiegłem.

Ochroniarz krzyknął coś za mną. Palis wyciągnął ręce. Jakoś mu się wywinąłem i gwałtownie torowałem sobie drogę, licząc na to, że żaden z moich przyjaciół nie będzie mnie zatrzymywał. Przynajmniej co do tego się nie pomyliłem. W dodatku kumple zbili się w ciasną grupkę, tarasując drzwi. Cudem zatrzymali Palisa i ochroniarzy, którzy już szykowali się do pościgu.

Przy oknie pozwoliłem sobie na oddech. W tym samym momencie usłyszałem wycie syren. Na podjazd wdarło się sześć policyjnych samochodów z pulsującym niebieskim światłem. To niemożliwe. Nie dotarliby tu tak szybko. Żołądek skurczył mi się jak przekłuty balon. Byłem w pułapce. Ale spisek nie kończył się na dwóch strażnikach. Kierował nimi ktoś z góry.

Kilkunastu policjantów obstawiło pałac. Palis niemal przedarł się przez barykadę chłopców. Nie miałem chwili do stracenia. To było czyste szaleństwo. Nawet gdyby udało mi się wydostać z tego domu, nie wiedziałbym, dokąd uciekać. Ale wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu chciałem się stamtąd wyrwać. Myśleć mogłem potem.

Rozejrzałem się. Znalazłem się w pałacowej jadalni. Pokolenia książąt i księżn gapiły się na mnie oskarżycielsko ze ścian. Na środku stał stół nakryty dla ośmiu osób - ośmiorga gości, którzy nigdy się nie zjawia. Na wypolerowanym blacie oczom turystów prezentowały się lśniące srebra, kruche szkła i nieskazitelnie biała porcelana. Na drugim końcu pokoju zobaczyłem drzwi.

Rzuciłem się w tamtą stronę, ale drogę zastąpiła mi jedna z zabytkowych dam, poruszona dzwonkiem i krzykami. W rękach trzymała dwa druty z niedokończonym różowym sweterkiem. Miała koło sześćdziesiątki, dwuczęściowy garnitur, ufryzowane włosy i czerwone plamy z gniewu na policzkach.

- Zatrzymać go! - ryczał Palis.

Starsza pani wyduła usta z wściekłości. Pewnie pomyślała, że jestem jakimś wandalą.

- Och, ty potworze! - krzyknęła. - Ty mały potworze!

Szarpnęła rękami. Różowy sweterek spadł na ziemię. Nad głowę damy wystrzeliły dwa druty wymierzone prosto we mnie niczym sztylety.

- Potworze! - krzyknęła po raz trzeci i z błyskiem w oku ruszyła w moją stronę. W tej samej chwili ruszyłem i ja.

Spotkaliśmy się po jakiejś sekundzie. Nie chciałem tego zrobić. Nie wiem, co właściwie chciałem. Ale ona mogła mnie przecież zabić tymi drutami, więc musiałem się bronić. Kiedy zapikowała w dół, uchyliłem się. Moje ramię wbiło się w jej żołądek, jak w jakiejś zwariowanej zagrywce rugby. Podniosłem się. Widziałem, jak w powietrzu leci wirująca masa tweedu, nylonowych pończoch i stalowych drutów. Dama z piskiem wylądowała na nakrytym stole. Przemknęła po nim jak błyskawica, wywołując eksplozję tłukących się talerzy i brzęk spadających sztućców. Wypolerowane drewno było śliskie jak lód. Starsza pani wyprysnęła z drugiego końca stołu, uderzyła w ścianę i wreszcie zniknęła z

poła widzenia, cała przykryta olbrzymim portretem, który z trzaskiem zsunął się ze ściany. Nie wiem, jak to zniosła. Ja już dawno zdążyłem zwiać.

Tym razem trafiłem do niewielkiego pokoju, chyba biblioteki. Na mój widok trzeci strażnik podniósł się z krzesła. Odepchnąłem go wierzchem dłoni, rąbnął w półkę, znikając pod lawiną książek. Na końcu długiego korytarza znalazłem okno. Otworzyłem je i przeskoczyłem nad parapetem.

Okno wychodziło na wąską galeryjkę biegnącą wzdłuż ścian domu. Szczęście nadal mnie nie opuszczało - nikt mnie nie widział. Przez sekundę wisiałem z obiema rękami zaciśniętymi na krawędzi balustrady. Potem się puściłem. Spadałem długo, aż moją trasę przecięła warstwa trawy. Chyba przecięła mi też nogę - a przynajmniej tak to odczułem. Kiedy się podniosłem, z trudnością mogłem ustać. Skręciłem kostkę i podarłem spodnie. Ale przynajmniej się stamtąd wyrwałem.

Pokuśtykałem na tyły domu i minąłem bramę z kutego żelaza. Dotarłem już na parking, kiedy nagle się zorientowałem, że właściwie nie wiem, dokąd uciekać. Nie mogłem liczyć na to, że wsiądę do autokaru, a oni po prostu zawiozą mnie do domu. A bieganie chwilowo nie wchodziło w grę. Nawet gdybym zapomniał o skręconej kostce, opactwo Woburn otaczały płaskie rozległe pola, na których wypatrzyliby mnie z odległości wielu kilometrów. Z budynku zaczynali wysypywać się policjanci. Szukali mnie.

Wszystko, co do tej pory zrobiłem, tylko pogorszyło moją sytuację. Może jednak potrafiłbym wytłumaczyć, skąd wziął się klejnot w mojej kieszeni. Nawet gdyby mi nie uwierzyli, mogłem udawać, że to tylko taki głupi wybryk. Mogłem im wmawiać, że chciałem go przeznaczyć na cele dobroczynne. Ale nie. Ja musiałem jeszcze wyrzucić w powietrze tę staruszkę. I rozbić zastawę wartą setki funtów. Dlaczego to spotkało właśnie mnie?

Rozejrzałem się desperacko. Wokół mnie w równych rzędkach stały samochody, a ludzie całymi rodzinami biegli do opactwa zobaczyć, o co ten szum. Szybkim krokiem zbliżał się pierwszy policjant. Ledwo myślałem. Ledwo trzymałem się na nogach. Moja kostka zaczynała przypominać dobrze nadmuchany balon. Nie wiedziałem, jak się stamtąd wydostać, a zresztą i tak nie miałem dokąd pójść.

I wtedy zobaczyłem land-rovera. Stał na końcu rzędu, nikt się koło niego nie kręcił. Drzwiczki były oczywiście zamknięte, ale na dachu coś leżało. Coś przykrytego niezbyt dokładnie brezentem, odstającym z jednej strony.

Nie tracąc czasu, wdrapałem się na tył land-rovera i wczołgałem pod brezent. Na dachu wałało się mnóstwo paczek pełnych jakiegoś ziarna. Kierowca auta musiał być albo farmerem, albo fanatykiem zdrowej żywności. Znalazłem akurat dość miejsca dla siebie.

Leżałem tam, w ciemnościach, wsłuchując się w bicie własnego serca. Zdążyłem chyba w ostatniej chwili. Nagle rozległ się chrzęst kroków.

- Widzisz go? - zapytał jakiś głos.

- Nie.

- Trzynaście lat. Brudas. Groźny.

- Poszukaj tam...

Po dwóch minutach usłyszałem więcej kroków. Kobieta i mężczyzna rozmawiali niskimi głosami. Drzwi land-rovera otworzyły się, po czym zamknęły. Zaterkotał silnik. Samochód drgnął, po czym wyprysnął naprzód. Wbiło mnie w paczki. Odjechaliśmy!

Prawdopodobnie za jakiś czas policja urządziłaby blokadę i przeszukała dokładnie każdy samochód opuszczający teren opactwa. Ale nas nikt nie zatrzymał, kiedy wlekliśmy się z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Siedziałem pod brezentem w zupełnych ciemnościach i nie śmiałem wyjrzeć. Miałem tylko nadzieję, że land-rover jedzie gdzieś daleko. Najlepiej do Nowej Zelandii. Myślałem, że szybko dotrzemy do MI. Potem będę bezpieczny, przynajmniej na razie.

Ale nie dotarliśmy nawet w pobliże autostrady. Kierowcy najwyraźniej wcale się nie spieszyło. Po dziesięciu minutach nadal poruszaliśmy się w żółwym tempie. Pod brezentem robiło się powoli gorąco. Oddychałem z trudnością. Ostrożnie podniosłem zwisający brzeg i wyjrzałem.

Utknęliśmy w korku - właśnie o tym marzyłem. Za nami stało co najmniej sześć samochodów. Nie widziałem, ile przed nami. Droga biegła wzdłuż wysokiego płotu, za którym zauważyłem drugi, niższy. Poza tym widziałem tylko pola i drzewa.

Dwa metry do przodu i stop. Znów dwa metry i stop. Zmierzaaliśmy donikąd, ale zajmowało nam to potwornie dużo czasu. Znów zerknąłem na zewnątrz, w samą porę, by przeczytać napis na drewnianej tablicy. PROSZĘ WSUNĄĆ ANTENY RADIOWE. Wsunąć anteny? Którędy ta droga prowadziła? Pod jakimś niskim mostem?

Land-rover znów się zatrzymał. Nie śmiałem wyjrzeć, ale słyszałem głosy.

- Mają państwo w samochodzie jakieś zwierzęta? - zapytała kobieta.

- Nie - odparł kierowca.

- Proszę uprzejmie...

- Dziękuję.

Czyli nie wiemy żadnych zwierząt. Dobrze wiedzieć. Tylko co to miało wspólnego z czymkolwiek? Gdzie byliśmy? Prawie się dusiłem. Wciąż wlekliśmy się tą samą drogą, a słońce prażyło coraz mocniej. Zdecydowałem się zwiewać przy pierwszej sposobności. Cała

ta historia z land-roverem od początku była pomyłką. Po co ja się w ogóle tam schowałem? Trzeba było pokuśtykać na piechotę.

Po kolejnym kwadransie miałem już dość. Zatrzymaliśmy się i ruszaliśmy więcej razy, niż mogłem policzyć. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Ale przynajmniej wydostałem się z opactwa. Przesunąłem się na brzeg dachu i wyslizgnąłem spod brezentu. Nie rozglądając się zbytnio, zeskoczyłem na trawę. Moja kostka gwałtownie zaprotestowała. Zerwałem się do biegu, nie zwracając na nią uwagi. Zatrzymałem się dopiero piętnaście metrów dalej, żeby zbadać swoje położenie

Wylądowałem na środku jakiegoś wielkiego pola. Zamknięty jak owca w zagrodzie. Z każdej strony otaczał mnie płot, dodatkowo najeżony u szczytu dechami. Land-rover stał w długim sznurze samochodów. Teren na pikniki. To była moja pierwsza myśl. Tylko kto by urządzał piknik w takim miejscu? Wokół widziałem wyboiste, jałowe pole pełne splątanych kłaczy trawy i kamienistych wzgórz. Gdzeniegdzie rosły pokrzywione drzewa. Zygzakowata droga biegła wzdłuż płotu. Spojrzałem na samochody. Mimo morderczej pogody wszystkie okna były otwarte. Ludzie machali do mnie i coś pokazywali. Raczej nie wyglądało to na zaproszenie na piknik.

Wtedy powietrze rozdarł ryk z głośnika.

- Proszę wracać do samochodu! - zażądał. - Proszę wracać do samochodu!

W tej samej chwili usłyszałem długi, niski i wściekły pomruk. Serce podeszło mi do gardła, a włosy na karku zjeżyły się jak u jeżozwierz. Odwróciłem się.

W moją stronę wolno truchtał pełnowymiarowy lew.

Do tej pory nie wiem, jakim cudem nawet się nic spościłem. Właśnie wykonałem tak niewiarygodny numer, że sam nie mogłem w to uwierzyć. Usiadłem na dachu land-rovera i dałem się zawieźć do samego środka parku safari. Jasne, w końcu dokąd jeszcze można się wybrać po wizycie w opactwie Woburn? I tam, kiedy właśnie podziwialiśmy wybieg dla lwów, zdecydowałem się wysiąść. Dlaczego nie zaczekałem na żyrafy? Żyrafy należą do wegetarian. Lwy nie.

Z otwartego pyska wydobywał się głuchy warkot. Lew pokazał mi całe gardło, a lada chwila miałem zobaczyć znacznie więcej. Był ogromny. Z samej jego grzywy dałoby się zrobić bardzo włochatą narzutę na wielkie łóżko. Ale nie nad tym się zastanawiałem. Patrzyłem na jego zęby, straszliwe ostre kły błyszczące w pełnym słońcu. Lew tymczasem patrzył na mnie. Brązowe oczy aż płonęły z wściekłości. I z głodu.

Okropnie jest być lwem w parku safari. Przez cały dzień lunch przejeżdża ci koło nosa w metalowych puszkach. No cóż, tym razem przekąska sama wydostała się z konserwy.

Przez trawę jechał do mnie pomarańczowo-czarny džip. Tylko że zanim by do mnie dotarł, mogło już być za późno. Chciałem biec w jego stronę, ale nie miałem szans. Inne samochody były za daleko, zresztą moje nogi zmieniły się w galaretę. I to niezbyt mocno ściętą. Lew wydał z siebie kolejny pomruk, gotów do skoku. A ja stałem tam, sam, bezbronny...

Bezbronny...

Nagle przypomniałem sobie o procy, którą znalazłem w autokarze. Moja ręka błyskawicznie wygrzebała ją z kieszeni. Potrzebowałem jeszcze jakiegoś kamienia. Ale wokół mnie nie leżało nic oprócz kilku gałązek. Lew ruszył do przodu. Nie widziałem nic. Nawet zwykłego otoczaka.

I wtedy pomyślałem o karbunkule z Woburn.

Wyciągnąłem klejnot, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co właściwie robię. Klejnot wielkości piłki do ping-ponga błyszczał olśniewającą czerwienią. Warkot lwa przeszedł w ryk. Ręka drżała mi jak listek, kiedy ładowałem procę. Naciągnąłem gumę. Lew runął naprzód. Strzeliłem.

Nadal ryczał, gdy karbunkuł błysnął w powietrzu. W tej samej chwili rzuciłem się na bok.

Bezcenny klejnot zniknął w paszczy lwa.

Przeturlałem się i rozejrzałem dookoła. Lew minął mnie mniej więcej o metr. Leżał na grzbiecie i przez krótką szaloną chwilę miotał się jak Sington, kiedy połknął gumę. Karbunkuł utkwiał w tchawicy bestii. Lew rzucał się słabo, charczał. Miauczał niczym pospolity dachowiec. Wstałem powoli.

Zdażyłem tylko zobaczyć kolejne trzy lwy schodzące majestatycznie ze wzgórza, żeby sprawdzić, co się dzieje, kiedy nadjechał džip. Na siedzeniu pasażera stał strażnik uzbrojony w wiatrówkę z nabojami usypiającymi. Strzelił, ale spudłował. Poczułem ostry ból w nodze, a świat zaczął nagle wirować.

Film mi się urwał. Zanim straciłem przytomność, pomyślałem, że strażnik w gruncie rzeczy wcale nie spudłował. Po prostu cały czas celował we mnie. Pewnie uznał, że jestem bardziej niebezpieczny od lwa.

Proces

Zostałem oskarżony o kradzież, rozbój, wejście na teren zamknięty, wandalizm i okrucieństwo wobec zwierząt. Aha, lew przeżył. Operacja trwała sześć godzin. Pech chirurga polegał na tym, że pacjent obudził się po pięciu.

Przewieźli mnie do Old Bailey na proces. Wydział trzeci karny. Wciąż go pamiętam. Był znacznie mniejszy niż w moich wyobrażeniach, cały w boazerii poza szklanymi oknami w dachu. Przypominał coś w rodzaju kaplicy. Ława przysięgłych siedziała w jednym rzędzie. Dwunastu ludzi prawych i sprawiedliwych. Może i tak, przez całą rozprawę na ogół spali snem sprawiedliwych. Przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Pośrodku skupiła się cała gromada prawników, adwokatów i urzędników sądowych. W tych czarnych togach i białych perukach wyglądali jak elegancko opakowane prezenty, takie z okazji pogrzebu.

Ja siedziałem oczywiście na ławie oskarżonych w towarzystwie dwóch krzepkich policjantów. Prokurator, ilekroć na mnie spojrzał, zgrzytał zębami. Sędzia swoje zęby stracił już dawno, ale najwyraźniej lubił, kiedy inni przez niego zgrzytali. Mój adwokat natomiast na zmianę wzdychał i ocierał twarz chusteczką. Odkąd mnie zobaczył, wiedział, że sprawa jest beznadziejna.

To wszystko przypominało jakiś koszmar. Bawiłem się prawie tak dobrze, jak na dwóch godzinach algebry w deszczowe popołudnie. Najprostsze rzeczy spece od prawa zamieniali w zawile problemy. Nie umieli nawet powiedzieć „dzień dobry” bez pisemnego poświadczenia ze stacji mete reologicznej. Sprawa nabrała tempa, kiedy zjawili się świadkowie. Pierwsza zeznawała staruszka z opactwa Woburn. Na szyi miała tym razem tweedową opaskę elastyczną i eleganckie łubki. Opisała, jak ją zaatakowałem i cisnąłem o stół. Zapomniała tylko wspomnieć, kto miał druty.

- Co się stało po tym, jak uderzyła pani w stół? - zapytał obrońca.

- Stary lord mnie przygniótł.

- Ma pani na myśli markiza Tavistock?

- Gdzieżby - prychnęła. - To był portret.

Na sali rozległy się chichoty. Sędzia uderzył młoteczką, ajajuz po raz kolejny miałem ochotę ogłosić: Sprzedane pani z drutami i tweedową opaską na szyi. Ale trzymałem język za zębami.

- Nie mam więcej pytań - wymamrotała obrona.

Oskarżenie przesłuchało jeszcze dwóch strażników i myśliwego z parku safari. Wszyscy opowiadali to samo. Przyłapali mnie na gorącym uczynku, z karbunkulem w ręku. Rzuciłem się do ucieczki, tratując wszystko na swojej drodze. O mało nie zabiłem lwa. Mogłem się tylko cieszyć, że nie powołali go na świadka.

Wtedy działać zaczęła obrona.

Mój adwokat, niejaki Wilson, był szczupłym mężczyzną o szarych włosach. Kiedy spotkaliśmy się przed procesem, zapytałem go, jak ma zamiar mnie z tego wyciągnąć. Roześmiał się. Nie zdarzało mu się to często. Niemal widziałem pajęczynki w kącikach jego ust.

- Wyciągnąć cię? - zapytał. - Zapomnij o tym. Dowody przeciw tobie są solidne jak skała. Po prostu niepodważalne.

- Ale przecież mnie wrobili! Specjalnie wpakowali mnie w ten pasztet!

- A ta staruszka, którą zaatakowałeś, skończyła z wielkim obrazem na głowie. - Obrońca otarł twarz. - Mogę jedynie próbować przekonać sędziego, że tak naprawdę jesteś w gruncie rzeczy miłym chłopcem. - Popatrzył na mnie, marszcząc nos. - Chociaż nie widzę specjalnie szans. Ale mimo wszystko to twoje pierwsze wykroczenie. Może będą dla ciebie łaskawi.

- Na ile łaskawi? - zapytałem.

- Pewnie dadzą ci jakieś sześć miesięcy... - Wilson wzruszył ramionami.

- Więzienie! - Wbiłem w niego wzrok. - Przecież ja nie mogę iść do więzienia. Jestem niewinny!

- Oczywiście - westchnął. - Dopóki nie udowodnią ci winy.

I tak Wilson zabrał się do wykazania, że pod fałszywymi pozorami kryje się miły, dobry chłopiec. Na nieszczęście dla mnie, wybrał nie tych świadków, co powinien. Zrozumiałem to już wtedy, gdy zobaczyłem pierwszego z nich. Był nim mój brat Tim.

Wystąpił w garniturze z czarnym krawatem. Włożył go przez przypadek, czy wiedział o czymś, czego ja nie wiedziałem? Trząśł się jak galareta. Każdy pomyślałby, że to jego proces. Woźny sądowy podał mu Biblię. Tim kiwnął głową, po czym zaczął ją wkładać do kieszeni. Woźny wyrwał mu ją gwałtownie. Już czekałem, kiedy dojdzie do szamotaniny, ale sędzia wyjaśnił Timowi, że na Biblię należy złożyć przysięgę. Mój brat zaczerwienił się.

- Przepraszam, wasza wysokość - wymamrotał. Sędzia zatrzęsł się lekko.

- Proszę się do mnie zwracać Wysoki Sądzie.

- Och tak... - Tim właśnie rozsypywał się na drobne kawałeczki. Zresztą przyszedł już trochę nieposkładany. - Przepraszam, wasza sędowość.

Woźny podjął kolejną próbę.

- Przysięgam mówić prawdę - zaczął.

- Przysięga pan? - zapytał Tim.

- Nie. To pan tu przysięga! - Woźny przymknął oczy.

- Proszę po prostu powtarzać, panie Diament - westchnął sędzia.

W końcu przysięga została złożona. Wilson wstał i powlókł się w stronę miejsca dla świadka. Tim powitał go uśmiechem.

- Nazywa się pan Herbert Timothy Diament? - zapytał Wilson.

- Ja? - W głosie Tima brzmiało zdumienie.

- Czy nazywa się pan Herbert Timothy Diament? - powtórzył sędzia z naciskiem.

- Tak... tak, oczywiście, wasza wysokość. Wilson odetchnął głęboko.

- Czy mógłby pan scharakteryzować swojego brata? - spytał.

- No... wzrost średni, ciemne włosy, raczej szczupły... obrońca zeszywniał i przez chwilę bałem się, że dostanie ataku. Policzki miał zaciśnięte, perukę przekrzywioną.

- Wiemy, jak pański brat wygląda - jęknął. - Interesuje nas bardziej jego osobowość.

Tim zamyślił się.

- Proszę odpowiedzieć - mruknął sędzia.

- Oczywiście, wysoki trądzie - odparł Tim. - Nick jest w porządku. Oczywiście jak na młodszego brata. Tylko okropny z niego bałaganiarz. Ciągle zawała kuchnię swoimi książkami i...

- Nie interesuje nas pańska kuchnia! - ryknął Wilson. Ze wszystkich sił starał się zachować zimną krew. Ale tę bitwę już przegrał. - Chcemy tylko wiedzieć, czy pana zdaniem brat byłby zdolny dokonać brutalnego napadu na bezbronną staruszkę i ukraść bezcenny klejnot?

Tim uśmiechnął się do mnie i pokiwał głową.

- O tak! Bez dwóch zdań!

Wilson szykował się już do kolejnego pytania, ale zamarł z szeroko otwartymi ustami.

- Nie może pan tak twierdzić! - pisnął. - Przecież to pański brat!

- Ale miałem przecież mówić prawdę - protestował cicho Tim. - Całą prawdę i tylko prawdę i tak mi dopomóż Bóg.

Na sali zawrzało. Sędzia uciszył zebranych. Tim pogrzebał mnie niemal całkowicie. Ziemia sięgała mi powyżej nosa. Pomyślałem, że po jego zeznaniu sędzia chyba wlepi mi karę śmierci. To i tak byłoby nic w porównaniu z tym, co ja zamierzałem zrobić Timowi.

Wilson osunął się na krzesło.

- Nie mam więcej pytań - powiedział.

- Czy to znaczy, że mogę opuścić miejsce wypadków? - upewnił się Tim.

Jakoś nikt go nie zatrzymywał. Proces właściwie już się skończył.

Ława przysięgłych obradowała coś ze czterdzieści pięć sekund. Rzecz jasna byłem winny. Przyszła pora na ogłoszenie wyroku. Policjanci zmusili mnie do wstania. Sędzia przeszył mnie wzrokiem.

- Nicholasie Martinie Diament - zaczął. - Zostałeś uznany za winnego wszystkich pięciu zarzucanych ci czynów. Do moich obowiązków należy wyznaczyć ci karę. Twoja zbrodnia wydaje się wyjątkowo odrażająca. Jesteś, niech mi będzie wolno to stwierdzić, wyjątkowo odrażającym przestępcą. Ukradłeś bezcenny przedmiot, część naszego narodowego dziedzictwa. Z bezwzględny okrucieństwem zaatakowałeś staruszkę i lwa. Spowodowałeś szkody warte tysiące funtów. I z jakich to pobudek? Z niskich pobudek! Dla pieniędzy! A co byś zrobił z tymi pieniędzmi? Wydał na muzykę pop, brutalne filmy i klej do wączania.

Na razie sędzia sam pociągnął nosem. Potem wygiął palce, aż strzeliły mu kosteczki.

- Musimy chronić społeczeństwo przed takimi jak ty - ciągnął. - Gdybyś był starszy, potraktowałbym cię surowiej. Teraz jednak, wyrokiem sądu, zostajesz skazany na osiemnaście miesięcy w zakładzie poprawczym. Sędzia raz jeszcze uderzył młotkiem.

- Zamykam rozprawę.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Policjanci wyciągnęli mnie z sali sądowej i powlekli schodami w dół. Ręce miałem skute kajdankami. Prowadzili mnie jakimś długim korytarzem, a później wyszliśmy na podziemny parking, gdzie czekała już na nas ciężarówka.

- Wsiadać - powiedział jeden z policjantów.

Przed procesem nazywali mnie synem albo Nickiem. Teraz nie miałem już imienia. Ktoś złapał mnie za kark i popchnął do środka. Jeszcze nigdy nie czułem się taki mały - zupełnie jakbym nagle się skurczył.

- Ale ja jestem niewinny - bełkotałem. Policjanci jakby nie słyszeli.

Dwóch z nich wsiadło razem ze mną. Zamknęli drzwi. Odjeżdżaliśmy.

Z tyłu zobaczyłem małe okratowane okienko. Patrzyłem na świat przez grube matowe szkło jak przez lzy. Wyjechaliśmy z parkingu. Old Bailey, Holborn... Londyn przemykał mi przed oczami. Policjanci nie odzywali się ani słowem. Jeden czytał gazetę, z której uśmiechałem się ja sam.

Ale mnie się to wszystko jakoś nie uśmiechało. Zaczynało padać. Krople waliły w blaszany dach, jak gdyby ktoś upuścił z nieba torbę gruzu. Policjant ziewnęła, przewracając stronę gazety. Kiedy poruszyłem się na siedzeniu, szcęknęły kajdanki.

Jechaliśmy prawie godzinę na zachód. Wreszcie zwolniliśmy. Za nami zamknięto bramę. Ciężarówka się zatrzymała. Dotarliśmy na miejsce.

Więzienie mieściło się w brzydkim, wiktoriańskim budynku: na ceglastoczerwonych ścianach spoczywał szary dach. Każdego rogu pilnowała wieżyczka wartownicza, połączona z więzieniem metalowymi mostami, podnoszonymi i opuszczanymi automatycznie. Przeszklona stróżówka znajdowała się obok głównej bramy.

Wprowadzili mnie do środka drzwiami w bocznej ścianie więzienia. Nagle poczułem się jak na obcej planecie. Nie słyszałem już żadnych odgłosów ulicy, nawet szmeru wiatru. Powietrze pachniało potem i olejem maszynowym. Szczęknęły zamykane drzwi.

Jakiś mężczyzna w mundurze strażnika czekał już na mnie przy ladzie.

- Diament? - zapytał.

- To on - odparł policjant.

- W porządku. Policjanci wyszli.

Polecono mi opróżnić kieszenie. Zabrali mi wszystko, co miałem - nawet zegarek - i włożyli do kartonowego pudełka opatrzonego moim imieniem. Strażnik spisał jego zawartość.

- Dwa funty w drobnych monetach. Jeden długopis. Jedna metalowa podkówka - uśmiechnął się złośliwie - najwyraźniej tym razem nie przyniosła szczęścia. Paczka solonych chipsów, w połowie zjedzona. Bandaż...

Musiałem podpisać listę, po czym kazano mi się rozebrać. Moje ubranie wylądowało w pudełku, ja zaś dostałem kostkę złożoną z niebieskiego drelichu i białej bawełny zwieńczoną parą butów.

- Teraz weźmiesz prysznic.

- Przecież już się kąpałem.

- Rób, co ci każą.

Wziąłem prysznic. Potem czekało mnie badanie lekarskie. Dostałem porcję szturchnięć, prztyczków i zastrzyków. Obcięli mi włosy. Wreszcie pozwolili mi się ubrać. Koszula była za mała, a buty za duże, ale przecież nie mogłem wymagać od służb więziennych, żeby przejmowały się takimi drobiazgami. Wtedy pojawił się drugi strażnik. Wzdłuż nogi zwiślał mu łańcuch.

- Tędy, 95446 - powiedział.

95446 - numer wyszyty na drelichowej kurtce. Moje nowe imię.

Poprowadzono mnie korytarzem, wzdłuż rzędu zamkniętych cel. Dla mnie przeznaczyci ostatnią. Strażnik wyjął klucz i otworzył drzwi.

- Do środka - mruknął. Do rozmownych to on nie należał.

W celi o wymiarach cztery metry na dwa oprócz gołych cegieł zobaczyłem malutkie okno, dwa krzesła, stół, umywalkę, wiadro i dwie prycze, jedna nad drugą. Z tej niższej ktoś się sturlał i obdarzył mnie krzywym uśmiechem.

- Witam w Strangeday Hall, mały - powiedział. - Jestem Johnny Powers.

Johnny Powers

Witam w Strangeday Hall. Jestem Johnny Powers. Nie zabrzmiało to przyjaźnie. Jego głos był zimny i kpiący. Powers, mój nowy kumpel, mówił z lekkim irlandzkim akcentem. Przysiadł na brzegu pryczy, żując laseczkę lukrecji. Kiedy na niego spojrzałem, natychmiast poczułem suchość w ustach. W swoim czasie widziałem sporo brzydali, ale ten wykraczał poza skalę.

Był mniej więcej mojego wzrostu, chociaż starszy o dwa lata i lepiej zbudowany. Miał małe, brzydkie oczka, wąski, zadarty nos i cienkie wargi nieustannie rozciągnięte w drwiącym uśmiechu. Włosy nosił zaczesane do tyłu, tylko jedno pasmo wiło się jak wąż na czole. Bładość cery, jakby zupełnie pozbawionej oznak życia, mogła wynikać z braku słońca. A może Johnny już od dłuższego czasu nie żył, tylko nikt nie miał odwagi mu o tym powiedzieć.

Najbardziej przeraziło mnie jednak to, że nie umiałbym określić jego wieku. Wiedziałem, że ma piętnaście lat, ale z twarzy przypominał małe dziecko. Pulchne policzki, białe ząbki i brwi jak namalowane. Tylko kiedy się uśmiechał, na przykład tak jak wtedy gdy na mnie patrzył, widziałem przed sobą starego człowieka. Starego człowieka, który lubi zabijać. Zastanawiałem się, ilu ludzi opuszczało ten świat z jego uśmiechem w oczach.

Johnny Powers. Wróg Publiczny Numer 1. Chyba się urwał z czyjegós sennego koszmaru.

- Cześć - powiedziałem. - Jestem Nick Diament.

- Diament, taa? - Rozgryzł kawałek lukrecji. - Za co siedzisz?

- Za kradzież klejnotów - odparłem. Nie miałem ochoty na bliższe wyjaśnienia. -
Karbunkuły z Woburn.

- Serio? - Oczy mu zabłyśły, a po twarzy przemknął wyraz uznania. - Chyba coś o tym czytałem. Ale chwilowo daruj sobie błyskotliwe pomysły - dodał twardo. - Ja tu rządzę. Albo będziesz żył po mojemu, albo wcale.

- Jasne. W porządku.

Bo co miałem mu powiedzieć? Johnny Powers był już tak pokrecony, że bardziej nie można.

Rzuciłem swój skromny dobytek na górną pryczę.

- Co się stało z twoim ostatnim współwięźniem? - spytałem.

Powers zaprezentował swój krzywy uśmiech.

- Nie układało nam się najlepiej - odpowiedział. - Którejś nocy wyskoczył przez okno.

Spojrzałem na niego.

- Przecież jest zakratowane - zauważyłem.

- Taa. On wyskakiwał w częściach. - Powers wciskał sobie lukrecję do ust. - Może trochę mu pomogłem. Kapujesz, koleś? - zachichotał. - Gdybyś potrzebował kiedyś pomocy, wystarczy poprosić.

- Nie omieszkam - odparłem.

Zadzwoił dzwonek i otworzyły się drzwi. Zerknąłem na zegarek, przypomniałem sobie, że go nie mam, i wyszedłem za Powersem. W celach darły się dzieciaki. Wszystkie ubrane w identyczne mundurki jak ja. Żaden z tych chłopaków nie skończył szesnastki. I żaden się nie uśmiechał. Było ich ze trzystu. Nas było ze trzystu. Wciąż musiałem sobie przypominać, że jestem jednym z nich. Na najbliższe półtora roku.

Przemaszerowaliśmy przez drzwi do dużego holu zastawionego długimi stołami w dwóch rzędach. Na jednym końcu, na balkonie stał uzbrojony strażnik. Na ścianie wisiała kartka: ZABRANIA SIĘ ROZMAWIAĆ W CZASIE POSIŁKÓW.

Kilka minut później poznałem smak więziennego jedzenia. Smak nie jest najważniejszym określeniem. Nie poczułem żadnego. Staliśmy w kolejce do kotła, gdzie wydawali nam wodnisty gulasz, puree z kartofli, kapustę, śliwki i sos. Z zamkniętymi oczami nie zgadlibyście, co jest co. Wolałem nie wiedzieć, jakie zwierzę zakończyło swój żywot w tym gulaszu. Mogę tylko stwierdzić, że miało dużo tłuszczu, mało mięsa i na pewno cierpiało na jakąś chorobę.

Przez pełne dziesięć minut słyszałem wyłącznie szcęk sztućców o metalowe tacki. Nic nie zjadłem. Apetyt zostawiłem w sądzie. Pewnie nadal siedział na ławie oskarżonych, marząc o McDonalddie. Po kolejnym dzwonku odnieśliśmy naczynia. Właśnie odstawiałem moje, kiedy z głośnika rozległ się głos: 9544 6 Diament proszony do sali widzeń.

Powers stał tuż za mną.

- No, no, no - szepnął. - Proszę, pięć minutek w celi i już odwiedziny.

Strażnik poprowadził mnie korytarzem, potem na górę po schodach i do kolejnego pokoju.

- Nareszcie na swoim miejscu - powiedział inspektor Snape.

Oczywiście spodziewałem się zobaczyć go wcześniej czy później. Przecież Snape to wszystko zorganizował. Kiedy nie skorzystałem z propozycji zamieszkania w jednej celi z Powersem, postanowił załatwić to w inny sposób. Musiał się dowiedzieć o wycieczce do Woburn. Zatrzymał innych turystów, żebym został sam w pokoju z karbunkułami. Jeden z jego ludzi zdążył mi wsunąć dodatkowy klejnot do kieszeni. Drugi rozbił gablotę. I w ten sposób Snape miał mnie na widelcu...

A raczej - na widzeniu. Siedział sobie i palił papieroska. Za nim stał Boyle i uśmiechał się do mnie, jakby właśnie planował jakiś wredny kawał. Tyle że wredny kawał już mi zrobili. No cóż, jeszcze niczego ode mnie nie usłyszeli. Czyżby naprawdę się spodziewali, że będę tu grzecznie siedział?

- Usiądź - powiedział Snape.

- Snape... - zacząłem.

- Siadaj sobie, chłopcze. Rozumiem, że czujesz się przez nas trochę przerobiony, ale..

- Przerobiony?! - prawie wrzeszczałem. - Ty to nazywasz przerobiony! Wsadzili mnie na półtora roku. Osiemnaście miesięcy! Nie wiem, jak przeżyję osiemnaście minut! Mieszkam w celi z kompletnym świrem. Wiecie, co się stało z moim poprzednikiem? Też został przerobiony. Na mnóstwo małych kawałeczków!

Zaczekali, aż skończę, po czym wskazali mi krzesło. Boyle kiwał głową, ciągle się uśmiechał. Usiadłem ciężko.

- Ktoś musi wykonać tę robotę - powiedział Snape.

- Robotę - mruknął Boyle.

- Powers to nasza jedyna szansa dotarcia do Parkana. A mówiłem ci przecież, że trzeba go dorwać.

- A ja ci mówiłem, że się nie zgadzam - westchnąłem. - Mogłeś poszukać kogoś innego.

- Tylko ty się nadajesz. Masz trzynaście lat i łepetynę na karku. Udowodniłeś to w tej aferze z diamentami Sokoła. A kłopot polega na tym, że musimy się pośpieszyć.

- Spieszyc? - Omal się nie roześmiałem. - Ja na pewno nie zamierzam. Mam całe osiemnaście miesięcy...

Snape potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie. Widziałem ostatnie opinie psychiatrów o Powersie.

- Badali go psychiatrzy?

- Niezupełnie. Boją się przebywać z nim w jednym pokoju. W ogóle nie chcą się do niego zbliżać. Jest agresywny. Ma mordercze skłonności...

- Zauważyłem.

-...i jego stan się pogarsza. Któregoś dnia nastąpi krach. Potem będzie już tylko bezużytecznym warzywem.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - U Boyle'a jakoś ci to nie przeszkadzało.

Przynajmniej starałem ten kretyński uśmieszek z twarzy Boyle'a. Ruszył na mnie z wyciągniętymi rękami.

- Nie, Boyle - westchnął Snape.

- Zabiję go...

- Nie!

- Powiem, że to wypadek - błagał Boyle. - Że stawiał opór przy aresztowaniu.

- Przecież on już siedzi! - rzucił ostro Snape. Boyle zamilkł. Nadąsany powlókł się do kąta.

- Mówiłeś coś o morderczych skłonnościach? - zapytałem.

Snape zmierzył wzrokiem swojego podwładnego, po czym zwrócił się do mnie.

- Musisz wydobyć to nazwisko z Powersa, dopóki w ogóle jeszcze może mówić - odparł. - Tylko jedno nazwisko. To wszystko, czego chcemy.

- A jeśli odmówię?

- Zostaniesz tu na kolejne siedemnaście miesięcy i trzydzieści dni. - Snape wzruszył ramionami.

- Chwileczkę...!

- Nie, to ty chwileczkę zaczekaj, chłopcze. - Snape pochylił się nad stołem. - Tylko dwóch ludzi na całym świecie wie, że nic ukradłeś karbunkułu z Woburn. Boyle i ja.

- A ochroniarze?

- Nigdy ich nie znajdziesz. I tylko my możemy cię stąd wyciągnąć. Ale jeśli odmówisz współpracy...

Przez chwilę w powietrzu wisiała groźna cisza. Żałowałem, że Snape też nie wisi.

Wstałem.

- Parkan - powiedziałem.

- Musisz się zbliżyć do Powersa...

- Bardziej?! - krzyknąłem. - Jeżeli zbliżę się do niego jeszcze bardziej, wylądujemy w tym samym łóżku.

Odetchnąłem głęboko. Snape mnie pobił i dobrze o tym wiedział.

- No dobra, wygrałeś - przyznałem. - Wyciągnę z niego to nazwisko. Ale jeśli potem ty nie wyciągniesz mnie...

- Spoko.

Nagle Snape odzyskał humor. Wyjął coś z kieszeni. Rzucił to na stół.

- Poczęstuj się batonikiem, chłopcze - powiedział. - Boyle kupił go specjalnie dla ciebie. Gruby i lepki.

Popatrzyłem na Snape'a i Boyle'a.

- Hm. Sam bym tego lepiej nie ujął.

Powers czekał na mnie. Skręcał właśnie papierosa. Czekoladowego.

- Kto to był?

- Policja. - Odpowiedzi przećwiczyłem po drodze do celi. - Chcieli mi zadać więcej pytań.

Po raz pierwszy okłamałem Johnny'ego Powersa, a on wyczuł to jak pies myśliwski wyczuwa zapach krwi. Popatrzył na mnie ciekawie, mrużąc oczy. Ale nie odezwał się ani słowem. Na razie.

Jakiś czas później zgasły światła. Nikt nie przyszedł powiedzieć nam „dobranoc”. Nikt nie otulił mnie kołderką. Po prostu zrobiło się ciemno. I to wszystko.

Zaczęła się moja pierwsza noc w Strangeday Hall. Rozebrany wskoczyłem na prycze, zagrzebując się w szorstkie koce i jeszcze bardziej szorstkie prześcieradła. Poduszka była chyba z tektury. Za oknem świecił księżyc w pełni. Na ścianie powstał idealny kwadrat światła przecięty czarnymi cieniami krat. W oddali huczał samolot.

Leżałem tak godzinę, nie mogąc zasnąć. Miałem tylko jedną drogę i uznałem, że im szybciej na nią wejdę, tym lepiej. Przeklinając Snape'a, otworzyłem oczy.

- Powers? - zacząłem.

- Taa? - On chyba także nie spał.

- Chciałem tylko ci powiedzieć, że naprawdę cię podziwiam. Czytałem o tobie we wszystkich gazetach. Zawsze marzyłem, żeby się do ciebie przyłączyć.

- Serio? - Nie wiedziałem, czy mi uwierzył. Mówił zimnym, stłumionym głosem.

Przełknąłem ślinę i brnąłem dalej.

- Kiedy kradłem ten kamień... miałem w kieszeni procę. Jak w twoim gangu.

- Myśmy nie nosili żadnych proc.

- Jasne, Powers. Ale nie stać mnie było na pistolet. Dlatego ukradłem klejnot. - Nie słyszałem żadnej odpowiedzi. - Razem z tobą by mi się udało. A potem byśmy go opylili.

Zarobiliśmy kupę szmalu. Nie miałem tylko pojęcia, komu go sprzedać. A co ty byś zrobił, Powers?

W kompletnej ciszy nie usłyszałem, jak podnosi się z łóżka. Ale w sekundę później już stał, a jego głowa pojawiła się tuż obok mojej. W oczach igrały mu odbłaski księżycy.

- Słuchaj, Diament. Nie wiem, coś ty za jeden, a jak kogoś nie znam, to mu nie ufam. Może i jesteś na poziomie. Ale jak nie, to skończysz głęboko pod. Kapujesz?

Gapił się na mnie. Wciąż widziałem w jego twarzy rysy małego ministranta. Ale ten ministrant prędzej spaliłby cały kościół, niż służył do mszy.

- Dam ci dobrą radę - powiedział. - Bądź jak drzwi.

- Jak drzwi?

- Taa. Zamknij się.

Potem zniknął. Przewróciłem się i zamknąłem oczy. Słońce już wschodziło, kiedy wreszcie udało mi się zasnąć.

W środku

Byłem w Strangeday Hall już od trzech tygodni, kiedy Tim przysłał mi ciasto. Zrobił je własnoręcznie z jajek, mąki, cukru, szczypty imbiru i niewielkiej wiertarki firmy Black & Decker. Włożył ją do środka. Zdaje się, że tak wyobrażał sobie właśnie Wielką Ucieczkę. Niepotrzebnie się trudził. Schowanie wiertarki w cieście to niezła myśl, ale szkoda, że wsadził ją tam, zanim upiekł ciasto. Kiedy wyjął całość z piekarnika, trudno już było stwierdzić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Tyle jeśli chodzi o żarty w ciągu pierwszego miesiąca. Otaczali mnie najtwardsi bandyci i brutale w kraju. Ci ludzie łamali ręce jak zapalki. Oczywiście mam na myśli strażników. Większość współwięźniów była w porządku, chociaż raz nadziałem się pechowo na kieszonkowca. Nie żebym miał jakieś pieniądze. On ukraść mi kieszenie.

Jak opisać życie tam w środku? Może słyszeliście kiedyś powiedzonko wpaść jak śliwka w kompot? No cóż, w Strangeday Hall brnęło się coraz głębiej w grząskie bagno. Jedyne więzienie dla nieletnich w Anglii wcale nie przypadło mi do gustu.

Pobudka o szóstej. Delikatny letni prysznic. Albo i lodowato zimny, jeśli Luke zapomniał włączyć ciepłą wodę. Śniadanie: kubek herbaty, dwie kromki chleba i kasza. Do lunchu praca - w bibliotece, w pralni albo w klasie.

Lunch zaczynał się o dwunastej. Bóle brzucha o dwunastej trzydzieści. Potem dwie godziny ćwiczeń. W Strangeday Hall popierano aktywność fizyczną. Tylko nie każdą. Biegi

przełajowe skreślono z programu, odkąd pewna drużyna juniorów w czasie finału Pucharu Więzień dobiegła do Skandynawii.

Do podwieczorku siedzieliśmy zamknięci w celach. Llerbatę kończyliśmy o szóstej trzydziści i zamykali nas ponownie. Światła gasili o dziesiątej. Dzień z życia więźnia. Każdy kolejny wyglądał identycznie.

Ale wciąż pracowałem nad Johnnym Powersem - moim biletem na wolność. Myśleliście może, że po miesiącu w jednej celi udało mi się coś osiągnąć? Myliliście się. Był podejrzliwy jak wąż, tyle że dwa razy bardziej jadowity. Zgrywałem twarziela, udawałem, że chcę się od niego uczyć. Interesowało mnie jedno nazwisko. Słyszałem tylko monosylaby i drwiny.

Co gorsza, on rzeczywiście zaczynał się sypać. Dopadły go migreny. W jednej chwili czytał sobie jakąś dobrą książkę. W następnej ścisnął się już kurczowo za spoconą głowę i jęczał. Proponowałem mu aspirynę, ale nawet mnie nie słyszał. Właśnie wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się czegoś o jego matce. Może i sprzedał babcię do kopalni soli, ale matkę kochał. Wzywał ją. Później, kiedy bóle mijały, a ona nie przybywała, siedział skulony, ssąc kciuk. Rozumiałem teraz, o czym mówił Snape. Powers potrzebował nowego kaftana. Takiego z rękawami zawiązywanymi na plecach. Jeszcze kilka tygodni i jego cela będzie biała, miękko wyściełana. A co ze mną?

Pewnego popołudnia wszystko się zmieniło. Jako dyżurny posprzątałem kuchnię, jadalnię i dwa korytarze, które mimo to nie pachniały czystością. W Strangeday Hall nie sposób pozbyć się brudów. Można je co najwyżej przemieszać. Zrobiło się już późno i myślałem, że skończyłem, kiedy podszedł do mnie strażnik. Miał na imię Walsh, ale nazywaliśmy go Łasica z powodu wąskiej twarzy, ostrego nosa i małego wąsika. Nie lubił mnie. Nikogo nie lubił.

- Skończyłeś, 95446? - zapytał.

- Tak, proszę pana. - Uśmiechnąłem się do niego. -954 wystarczy. Zdrobnienia są takie miłe.

Gapił się na mnie, jego lewa powieka drżała.

- Usiłujesz być zabawny, 95446?

- Nie, panie Walsh.

- Prysznice mają się błyszczeć.

- Ale proszę pana...

- Chciałbyś o tym podyskutować, 95446?

- Nie, panie Walsh.

Strażnicy pod pewnymi względami przypominają czasem nauczycieli.

Minęło jakieś pół godziny, zanim wyruszyłem w stronę pryszniców umieszczonych w niskim budynku po drugiej stronie dziedzińca. Wszyscy więźniowie siedzieli w klasach lub w swoich celach. Ponad moją głową, w wieżyczkach wartowniczych strażnicy bawili się strzelbami. Poczulem się jak kaczka na strzelnicy. Trafisz Diamenta - wygrywasz złotą rybkę. Pomachałem im. Ktoś powiadomił centralę i w chwilę potem drzwi do łazienki otworzyły się z traskiem.

Ze ścian wykładanych białymi kafelkami wystawały haki. Na podłodze stały ławeczki. To tu się rozbieraliśmy. Dalej biegł długi korytarz z rzędami kabin po każdej stronie. Prysznice regulował system rur i zaworów, który musiał być nieco przestarzały już w dniu swojego powstania. Czyli jakieś kilka lat przed królową Wiktoria.

Myślałem, że jestem sam, ale nie zrobiłem nawet dwóch kroków, kiedy poprzez kapanie wody usłyszałem dwa niskie, groźne głosy. Ostrożnie odstawilem wiadro i mopa, po czym przesunąłem się w stronę korytarza. Te głosy nie podobały mi się, chociaż nie wiedziałem nawet, co mówią. W łazience nie powinno być teraz nikogo. Jeśli ktoś wślizgnął się tutaj w środku popołudnia, to zapewne nie dlatego, że marzył o kąpielu.

Dotarłem do pierwszej kabiny, tuż obok kranów. Stąd miałem najlepszy widok. Przyciskając policzek do chłodnego metalu, rozejrzałem się dyskretnie. To, co zobaczyłem, przerastało najgorsze oczekiwania. A w Strangeday Hall oczekiwania bywały naprawdę fatalne.

Johnny Powers siedział pod ścianą. Nawet w półmroku widziałem, że porządnie obeiwał. Wyglądał jak połamana lalka. Jeszcze z nim nie skończyli, ale z nosa kapała mu krew, zmierzwiłone włosy sterczały we wszystkie strony. Nad Powersem stało trzech typów. Rozpoznałem drani, choć widziałem tylko ich plecy. Poczulem dziwną suchość w ustach.

Najwyższy nazywał się Mark White - odsiadywał trzy lata za napad z bronią w rękę. Najbardziej pokrzywiony gość w okolicy. Krzywe ręce, krzywe nogi i krzywy uśmiech. Towarzyszył mu mały Szkot o tłustych włoskach, McNeil. Miał wymowny brzuch, który wymawiał: „brzuk”. Na ogół nie rozumiałem, co właściwie chciał powiedzieć. Przeważnie wołałem nie rozumieć. Nie wiedziałem, co robił tam ten trzeci. Dostał ksywę Blondasek z powodu jasnych włosów. Ale Brzydał też by pasowało. Gdzieś usłyszałem, że zamordował swojego dentystę. Też bym zabił swojego, gdybym miał takie zęby

- Nie wołasz o pomoc, Johnny? - pytał White. - Może usłyszałyby cię któryś ze strażników.

- Nie potrzebuję pomocy. - Powers splunął krwią.

- Zrób to - dyszał Blondasek. - Teraz.

- O tak, teraz - zachichotał Powers. - Co jest, White? Cykasz się? Zostałeś cykadą?

White przesunął się nieco. Wtedy zobaczyłem, co trzymał w ręku. Nie wierzyłem własnym oczom. Prawie każdy w Strangeday Hall nosił jakąś broń - na ogół sztylety własnego wyrobu, tutaj zwane żądawkami. White jednak zdobył coś ekstra. Jakimś cudem wszedł w posiadanie pistoletu i właśnie celował z niego prosto w Powersa.

- Nie bój nic, Johnny. To cię nie ominie - powiedział. - Ale nie spiesz się tak. Myślę, że damy ci jeszcze parę minut - dodał, patrząc w górę.

Jeszcze parę minut... Mój mózg gwałtownie pracował. Co się stanie za parę minut? Nagle zrozumiałem. Więzienie leżało niedaleko Heathrow i akurat o tej porze przelatywał nad nami concorde. Czekali, aż samolot zagłuszy strzał. Idealny plan. Powers zostanie wyciszony i zastrzelony jednocześnie.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, mógłbym zwyczajnie stamtąd zwać. Nie obchodziło mnie, kto kogo zabija i dlaczego. Ale to był Powers. Nie miałem wyboru. Musiałem go stamtąd wyciągnąć. I to żywego.

Rozejrzałem się. Sam nie wiedziałem, czego szukam. Karabinu zgubionego przez jakiegoś strażnika? Jeśli tak, szczęście najwyraźniej mi nie sprzyjało. Znalazłem tylko urwane sznurowadło i stary ręcznik leżący w kałuży wody.

- Dwie minuty, Johnny - przypomniał White. - Jakieś ostatnie życzenie?

- Taa. Niech cię szlag trafi.

Cały Johnny. W radiu w piosence na telefon zamówiłby marsz żałobny.

Ręcznik jednak mnie zainspirował. Ostrożnie, najciszej jak umiałem, zabrałem się do badania wiktoriańskiej hydrauliki. Z trzech kranów jeden odkręcał ciepłą wodę, drugi zimną, a ostatni kontrolował ciśnienie. Zobaczyłem także zawór ze sterzącymi rurami i okrągłą tarczę z dużym czerwonym polem. Chyba nikt jeszcze nie włączył tego systemu pod maksymalnym ciśnieniem. Pewnie wszystko poszłoby w drobny mak.

No cóż, kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Chwyciłem kurek. Poczulem w dłoni chłód metalu. Przekręciłem kran w prawo, modląc się, żeby nie zaskrzypiał. Rury zdrząły, zakrzuszyły się, po czym wydały z siebie jęk człowieka cierpiącego na niestrawność.

- Co to? - zapytał McNeil. Chyba usłyszał. W końcu nie był kompletnie głuchy.

- Nic - odpowiedział White, oddychając głęboko. - Pewnie rury.

Przekręciłem kurek jeszcze trochę. W rurach rozległo się głośnie bulgotanie przechodzące w ryk. Zerknąłem na ciśnieniometr. Igła skoczyła w górę jak batuta dyrygenta. Stała teraz w pionie i na moich oczach zaczynała przechylać się leciutko w prawo.

- Pewnie? - odezwał się nieszczęśliwym głosem McNeil.

- Sprawdź se, jak tak się denerwujesz - odparł White.

- Powiedz mi coś, White - rzucił nagle Powers.

- No?

- Kto cię tak ustawił? Kto ci przesłał gnata? Chcę tylko wiedzieć.

- A jak myślisz? - odparł White. Zaległa cisza.

- Dobra, powiem ci. Duży Ed - mruknął po chwili.

- Duży Ed?

- Taa. Uznał, że pora, żebyś się stąd zabierał. Na zawsze. Kapujesz?

- No niech mnie - mamrotał Powers. - Duży Ed... Urwał. Usłyszałem odległy dźwięk, głośniejszy nawet od szumu rur. Łoskot przybliżał się z każdą sekundą. Concorde szykował się do lądowania. Na Johnny'ego już pora.

- No to kończymy - powiedział White. - Pomódl się, Johnny.

Sięgnąłem po ręcznik i chwyciłem gorący kran. Parzył mnie nawet przez warstwę mokrego materiału. Dla nas prysznice zawsze były ledwo letnie. W tej chwili rozżarzyły się do białości.

Wskaźówka ciśnieniometru przeszła przez czerwone pole i usiłowała wydostać się na drugą stronę. Huk samolotu przybrał nasilę. W każdej chwili mógł się zmienić w wielkie bum. Ściskając kran ręcznikiem, przekręciłem go szybko.

Wszystko stało się w jednej sekundzie.

Przez rury przemknął głośny syk wody. Prysznice nagle ożyły, tryskając wrzątkiem na wszystkie strony. Rury grzechotały i drżały tak, jakby usiłowały wyskoczyć ze ścian. Para wypełniła cały pokój jak nieprzenikniona mgła.

- Co do diabła... - zaczął White.

Wtedy wybuchnął pierwszy prysznic. Jego główka przeleciała przez pokój jak pocisk. Para i woda wystrzeliły za nią.

Concorde znajdował się dokładnie nad nami. Cały budynek się trząsł. Niemal nie słyszałem wystrzału. Drugi prysznic nie wytrzymał ciśnienia. Blondas wrzasnął, gdy jego twarz zniknęła w chmurze białego ukropu.

Owinałem twarz ręcznikiem i przeczołgałem się pod chmurami pary. Nie widziałem nic. Nie słyszałem nic. Ruiy waliły o ścianę jak oszalałe. Ekspłdowały kolejne trzy prysznicze. Strumień gorącej wody uderzył mnie w plecy.

- Johnny! - krzyknąłem głosem stłumionym przez ręcznik. Nagle usłyszałem uderzenie pięści i czyjeś ciało przecięło mgłę, uderzyło o kabinę i wylądowało obok mnie. White. Zimny trup. Chyba jedyna zimna rzecz w całym budynku. Już nie miał pistoletu.

Wtedy ktoś inny przedarł się przez warstwy pary. Tym razem to był Powers. W jakiś cudowny sposób nawet się nie poparzył.

- Dobra robota, mały - powiedział. Uśmiechał się, a oczy mu błyszczały.

Nie wiedziałem, co myśleć. On najwyraźniej świetnie się bawił.

Wszystko skończyło się tak szybko, jak się zaczęło.

Concorde przeleciał razem ze swoim hukiem. Rury zaklekotały, trzasnęły, po czym zawisły cicho, kiedy opadło ciśnienie. Zimna woda zalała betonową posadzkę. Gdzieś we mgle zajęczał McNeil. White i Blondasek leżeli bez ruchu, kontury ich ciał ginęły we mgle. Przeczolągaliśmy się do drzwi. Pamiętałem o wiadrze. Mop wręczyłem Powersowi, po czym razem wyszliśmy na dziedziniec. Strażnicy nie próbowali nas zatrzymać.

Tej nocy Johnny zapytał mnie, dlaczego go uratowałem.

- Przecież ci mówiłem. - Wzruszyłem ramionami z udawaną nonszalancją. - Podziwiam cię. Nie zamierzałem pozwolić, żeby sprzedali ci kulkę.

Powers wstał i podał mi rękę. Uścisnąłem ją.

- Jesteś OK, mały. Naprawdę w porządku.

To wszystko, na co go było stać. Ale zasypiając, czułem satysfakcję. Zaprzyjaźniłem się z nim, dokładnie tak, jak sobie tego życzył Snape. Uwolnienie ze Strangeday Hall wydało mi się wyłącznie kwestią czasu.

I rzeczywiście miała to być wyłącznie kwestia czasu, tyle że sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak bym chciał. A zresztą - czy w ogóle kiedyś tak się potoczyły?

Wolność

W dzień po ataku w łazience Powers dostał list. Poczta przychodziła dwa razy w tygodniu, ale dopiero po ocenzurowaniu przez dyrektora więzienia. Jeśli coś mu się nie spodobało, po prostu wycinał całe zdanie nożyczkami. Tim przysłał kiedyś list, który rozpadł mi się w rękach. Zaczynał się „Drogi Nicku”, a kończył „Twój starszy brat, Tim”. Reszta była jedną wielką dziurą z wyjątkiem słowa „paw”, które znalazłem na dnie koperty. Cóż,

przynajmniej dowiedziałem się, że wciąż szukał tej wazy z dynastii Ming. Chyba że zdarzył się cud i już ją znalazł.

Powers dostał list w całości. Przeczytał go w skupieniu trzykrotnie. Potem przez godzinę spacerował tam i z powrotem po celi. Znałem go już na tyle dobrze, że nie zadawałem żadnych pytań. Jeśli Powers zechce, żebym o czymś wiedział, po prostu mi o tym powie. Wreszcie odwrócił się i podszedł do stolika.

- Wynoszę się stąd - oznajmił.

- Wynosisz się, Johnny? - Nie wiedziałem, co mam mówić. - Jak to?

- Czytaj - rzucił, wciskając mi list w rękę.

Johnny!

Wybacz, że rzadko pisuję, ale mam ciągle kłopoty, A ostatnio jeszcze zachorował dziadek. Wymaga opieki, najlepiej doświadczonej pielęgniarki. One kosztują majątek! Dlatego uważam, że ewentualnie moglibyśmy dziadka leczyć ambulatoryjnie.

Poza tym ciotka Angelika wyjechała. Korzysta z upragnionego urlopu. Jak ostatnia egoistka...

Pa, pa

Mamuśka

Skończyłem list i zerknąłem na Johnny'ego. Powers patrzył na mnie i czekał, co powiem.

- To fatalnie - powiedziałem.

- No.

- Rozumiem, że martwisz się o dziadka, ale...

- Mój dziadek nie żyje od dziesięciu lat - chwycił list i rozłożył na stole. - Nic nie rozumiesz - zaczął. - Mamy z Mamuśką specjalny kod.

Przeczytałem list raz jeszcze, ale niczego nowego nie zauważyłem.

Powers strzelił kciukiem w kartkę.

- Bierzesz pierwszą literę z co drugiego słowa. Tak odczytujesz prawdziwą wiadomość.

Czytałem po raz trzeci, zaczynając od W... Wreszcie wszystko stało się jasne.

WRACAJ DO DOMU

ED ATAKUJE

- Ed? Duży Ed? - wymamrotałem. Słyszałem to imię dzień wcześniej. To on nasłał White'a i spółkę na Powersa.

- Londyn dzieli się na ćwiartki - tłumaczył Powers. - Północną, południową, wschodnią i zachodnią. W każdej działa inny gang, to taki rodzaj honorowego układu. Ja działałem we wschodniej, dopóki nie wpadłem. Od tego czasu zajmuje się nią moja Mamuśka. Ona jest nie do pobicia. Duży Ed siedział w południowej i ja nie miałem nic przeciwko. Teraz zrobił się chciwy. Ja zniknąłem z horyzontu, więc myśli, że wchrzani się na moje terytorium. Tylko że wolałby usunąć mnie już na stałe. Więc nasyła na mnie White'a i innych. A potem zaczepia Mamuśkę.

Powers zamilkł, a ja ku swemu zaskoczeniu zobaczyłem, jak po jego policzku spływa łza.

- Nie znasz Mamuśki - powiedział. - Jest twarda jak paczka gwoździ. Prawdziwa bestia. A jak gotuje! Nikt nie robi takiej moussaki jak ona. Bulgoczącej, z roztopionym serem na wierzchu. Przysłała mi tu jedną, jeszcze w lutym.

- Walentynkową moussakę? - zapytałem.

- Owszem. Ale sama nie poradzi sobie z Edem. Potrzebuje mnie. Dlatego wysłała list. Wstał i przez chwilę nadśluuchiwał przy drzwiach.

- Wynoszę się stąd - powiedział półgłosem. - A ty razem ze mną.

- Fantastycznie! - odparłem. To jakiś koszmar, pomyślałem.

- Zwiewamy razem.

- Kiedy? Jak?

- Zostaw kombinowanie mnie, mały. Nic już nie dodał.

Minał kolejny tydzień. Zmywałem naczynia, szorowałem podłogi, maszerowałem po dziedzińcu i zasypiałem w klasie. Powers nie odzywał się nawet słowem, ale przez ten czas dwukrotnie widział się ze swoim prawnikiem. Z każdej wizyty wracał z wrednym, tajemniczym uśmieszkiem i podejrzanym błyskiem w oku. Raczej nie dyskutowali o subtelnościach prawnych. Dałbym głowę, że ich rozmowy nie dotyczyły prawa. A już na pewno nie były specjalnie subtelne.

To stało się w piątkowy poranek, w sześć tygodni po moim przybyciu do Strangeday Hall. W piątki wizyty odbywały się dwa razy dziennie. Rano przyszedł ktoś do Powersa. Johnny nazwał go swoim kuzynem. Ale kiedy wrócił do celi, twarz aż błyszczała mu z podniecenia.

Sprawdził, czy nikt nas nie podsłuchuje, po czym podszedł do mnie.

- Zaczęło się - szepnął. - Dziś wieczorem ruszamy.

- Dziś wieczorem?

- Tak, mały. Ale jest pewien problem. - Uderzył pięścią w dłoń. - Natan Pazur - syknął.

- Tak?

- Jest moim kierowcą od ucieczek. Tyle że zachorował. Zatrucie pokarmowe. - Powers kopnął w ścianę. - Już ja go zatruję...

- Nie możemy poczekać, aż wyzdrowieje? - zapytałem.

- Nie, nie możemy. Wszystko już ustalone. Musimy pryskać dzisiaj.

Zamyślił się na chwilę.

- Zaraz - powiedział. - Czy nie mówiłeś, że po południu odwiedza cię brat?

- Tak.

- Umie prowadzić?

- Tak. Ale...

- No to załatwione! - Powers walnął pięścią we własną dłoń. - Każ mu przyjechać na Heathrow. Terminal Drugi, Odloty. Dzisiaj o jedenastej.

- Heathrow? - Gapiłem się na niego. - Odlatujemy stąd?

- Zobaczysz. - Powers znowu uśmiechnął się wrednie. - Tylko niech tam będzie.

- Ale Johnny - zacząłem niepewnie. - Tim nie bardzo...

Nie dał mi dokończyć. Nagle uśmieszek zniknął, a w oczach błysnęło szaleństwo.

- Jest twoim bratem i umie prowadzić. Wystarczy. Nic więcej mnie nie obchodzi. Lepiej, żebyś nie zawiódł, mały. Liczę na ciebie.

Mogłem mu powiedzieć, że Tim kompletnie się do tego nie nadaje. Mogłem dodać, że prawo jazdy zdał za szóstym podejściem i że za piątym potrafił instruktora. Mogłem też nadmienić, że Tim bał się nawet zaparkować nie tam, gdzie trzeba. A co dopiero przeprowadzić brawurową ucieczkę z więzienia o zaostrzonym rygorze. Ale Johnny Powers na mnie liczył. Gdybym wtrącił jakieś uwagi, moje akcje natychmiast by spadły.

- Poproszę go - powiedziałem w końcu.

- Jasne, mały. Poproś go grzecznie. I powiedz, że jeśli odmówi... - Powers znowu się uśmiechał -...następną przejażdżkę odbędzie karawanem.

Sala widzeń była długa i wąska, podzielona na dwie części identyczne jak lustrzane odbicia. Środkiem biegł rząd stołów. Do pokoju prowadziły dwie pary drzwi. Jedne dla więźniów, drugie dla odwiedzających. Więźniowie siadali po jednej stronie stołów, goście po drugiej. Dwóch strażników nie opuszczało pokoju, wsłuchiwali się w każde słowo.

Mój problem polegał na tym, że musiałem przekonać Tima, by pojawił się na Heathrow, nie tłumacząc mu, dlaczego ma to zrobić. Wiedziałem, że zaczniesz się klócić - najprawdopodobniej podniesionym głosem. A gdyby strażnicy coś wyczaili, byłoby po mnie.

Już na mnie czekał.

Odwiedzał mnie po raz pierwszy i gapił się, jakby nigdy przedtem mnie nie widział. Pewnie przez ten mój niebieski drelich z wyszytymi numerami. Ale co właściwie spodziewał się zobaczyć? Garnitur i cylinder?

Usiadłem i przez dłuższą chwilę obaj milczeliśmy. Tim rozluźnił krawat.

- Czuję się tu jak w więzieniu - powiedział w końcu.

- Jesteśmy w więzieniu, Tim - przypomniałem mu uprzejmie.

- A tak, rzeczywiście. - Uśmiechnął się w przestrzeń. - Jak się masz? - zapytał.

- Dobrze.

- Jeszcze tylko siedemnaście miesięcy. I może zwolnią cię wcześniej za dobre sprawowanie. Dobrze się sprawujesz?

- Dobrze.

Zaległa cisza. Tim najwyraźniej nie wiedział, jak rozmawiać z bratem - więźniem. I w dodatku nie wiedział, że jestem niewinny. Wyjął paczkę gumy do żucia i mnie poczęstował.

- Proszę nie podawać jedzenia nad stołem - warknął jeden ze strażników.

- A pod stołem mogę? - zapytał Tim.

- Żadnego jedzenia - odparł strażnik.

Tim wzruszył ramionami, wyjął kawałek dla siebie i próbował wrzucić go do ust. Nie trafił. Guma trafiła w oko. Westchnąłem.

- Co u mamy i taty? - zapytałem.

- Dzwoniłem do nich do Australii - odparł Tim. - Obawiam się, że nie najlepiej to znieśli. Mama dostała histerii. Tata cię wydziedziczył.

Kolejne długie milczenie. To tyle, jeśli chodzi o rodzinną solidarność.

- Nie mam zbyt dużo czasu - powiedział Tim, zerkając na zegarek.

- Jak ci idzie wypatrywanie samolotów? - wyrzuciłem z siebie.

- Wypatrywanie samolotów? - patrzył na mnie, jakbym oszalał.

- No.

Jeden ze strażników słuchał z wyraźnym zainteresowaniem. Uśmiechnąłem się do niego.

- Niektórzy wypatrują pociągów. Mój starszy brat woli samoloty.

- Ale... - zaczął Tim.

- Widziałeś ostatnio jakiegoś niezłego jęta? - śmiałem się jak wariat. Strażnik popatrzył w inną stronę, więc mrugnąłem do Tima. - To co, dziś wieczorem wybierasz się na Heathrow, tak? Do hali odlotów w Terminalu Drugim?

Wciąż mrugałem wściekle.

- Coś ci wpadło do oka? - zapytał Tim.

- Owszem. Może jeśli zjawisz się o jedenastej pod Terminalem Drugim, kupisz mi jakieś krople.

- Ale Nick...

Nie pozostało mi nic innego. Z całej siły kopnąłem go pod stołem. Chyba przesadziłem. Tim wrzasnął. Strażnicy natychmiast do nas podeszli.

- Wszystko w porządku?

- Ależ tak - zapewniłem. - Mój brat po prostu udawał samolot. Wiecie, jak te boeingi głośno startują...

- Mój palec! - jęczał Tim.

- Właśnie - ciągnąłem z desperackim uporem. - Został sam jak palec, odkąd ciągle znika na Heathrow.

Teraz patrzyli na nas już wszyscy. Strażnicy kręcili głowami.

- Koniec odwiedzin - powiedział jeden.

Wstałem i razem z innymi wróciłem do więzienia. Tim wciąż siedział przy stole, masował nogę i patrzył za mną błędnym wzrokiem. Chyba nieźle mu przyłożyłem. Nawet nie miałem pojęcia, czy się opłaciło.

Próbowaliście kiedyś zabijać czas? Jeśli tak, to na pewno wiecie, jak potrafi się wlec. Tego popołudnia włókł się jak umierający żółw. Wreszcie słońce zaszło za murami więzienia i zrobiło się ciemno. Johnny Powers prawie się nie odzywał. Po powrocie z widzenia powiedziałem mu, że przekazałem Timowi polecenie.

- W porządku, mały. Startujemy o północy.

Mówił, niemal nie poruszając wargami. Pomyślałem, że byłby z niego świetny brzuchomówca. I nawet nie potrzebowałby kupować pajaca. W końcu zatrudnił mojego brata.

Zeszliśmy na herbatę. Nie mogłem nic przełknąć. Potem wróciliśmy do celi. Powers uciął sobie drzemkę. Ja leżałem na pryczy. W myślach układałem testament. Timowi zapisałem moje książki, kasety i starą kolekcję znaczków. Snape i Boyle mają dostać australijskie spodenki. „Startujemy o północy”. Skąd Powers będzie wiedział, kiedy nadejdzie północ? Nie mieliśmy zegarka. I co on właściwie planował? Od głównej bramy dzieliły nas

co najmniej cztery pary zamkniętych drzwi. Gdybyśmy nawet wspięli się na mury, nie zeskoczylibyśmy z tej wysokości na drugą stronę. No i nie zapominajmy o wieżyczkach i wartownikach.

W powietrzu zawarczał samolot. Błysnęły nagle otwarte oczy Powersa.

Bez słowa sięgnął pod materac. W chwilę później stanął w blasku księżyca. Jego oczy były czarne. Skóra bezbarwna. Srebrne światło prześlizgnęło się po lufie pistoletu, który trzymał w prawej ręce. Pistolet z łazienki. Powers miał dopiero piętnaście lat, ale wyglądał raczej jak trup. Albo jak gangster z czarno-białego filmu.

Odwrócił się do mnie.

- Już dwunasta, mały. Czas na nas.

Za murami

Co robimy, Johnny?

- Wskakuj na pryczę. Połóż ręce na brzuchu i zacznij jęczeć - powiedział.

Wahałem się jakieś pół sekundy. Wystarczająco długo, by Johnny syknął wściekle:

- No już, ruszaj się!

Wtedy wgramoliłem się na górę, zwinąłem w kłębek i zajęczałem tak, jakbym zaraz miał zwymiotować. Zresztą nie musiałem specjalnie udawać. Zawsze kiedy się boję, mój żołądek szaleje. A w tamtym momencie byłem kompletnie przerażony.

Powers zerknął na mnie, mrugnął i zaczął walić pięściami w drzwi. Słyszałem, jak echo niesie dźwięk uderzeń wzdłuż korytarza. Potem zbliżyły się ciężkie kroki.

- Straż! - darł się Powers. - Straż!

Zawtórował mu jakiś inny więzień. Zgrzytnęły klucze, po czym drzwi otworzyły się z piskiem. Jęknąłem jeszcze głośniejsze. Powers odsunął się nieco do tyłu.

Tego dnia służbę pełnił Walsh. Widziałem go kącikiem oka w łagodnym, żółtym świetle z korytarza.

- O co chodzi, 00666? - zapytał.

- To ten dzieciak - odparł Powers. - Chyba jest chory. Po aferze z prysznicami Walsh nie wierzył żadnemu z nas.

Przez chwilę myślałem, że wyjdzie. Wydałem z siebie nieludzki skrzek i zadrzałem. Pewnie nie dostałbym za to Oscara, ale wystarczyło, żeby zatrzymać Walsha. Minął Johnny'ego i stanął przy mnie. Powers skradał się do drzwi, dając mi znaki. Ich znaczenie było proste: zagadać Walsha.

- Jestem chory - stękałem. - Potrzebuję lekarza.

- Co ci się stało?

- Nie wiem. Właśnie dlatego potrzebuję lekarza.

- Moim zdaniem wyglądasz nieźle. - Walsh patrzył na mnie podejrzliwie.

- Może, ale pan nie jest lekarzem - zaznaczyłem. Tymczasem Johnny wyjrzał na korytarz i upewnił się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Kiedy Walsh się wyprostował, nagle poczuł na szyi dotyk chłodnej lufy rewolweru. Tuż przy nim stał Powers, pomrukujący jak kociak. Wściekły kociak.

- Walsh-Łasica - mruczał. - Jeden fałszywy ruch i udekoruję ścianę twoim mózgiem.

- Powers! - Twarz Walsha zbieleła w mgnieniu oka. - Oszalałeś?

- Jasne - zaśmiał się Johnny Powers. - Tak twierdzą lekarze. Ale jakoś nie oszalałem na punkcie tego zakładu. Dlatego będziesz moim biletem powrotnym. - Kiwnął głową w kierunku drzwi.

- Sprawdź jeszcze raz, mały - rozkazał.

Wąski korytarz ciągnął się w nieskończoność, a matowe żółte żarówki rzucały lepkie kręgi światła na posadzkę.

- Droga wolna, Johnny.

- Idziemy! - Powers pchnął Walsh'a w moją stronę. - Tylko nie próbuj żadnych sztuczek. Jeden błąd i żegnaj, łasiczko!

Wyszliśmy na korytarz. Wwiezieniu szybko przywyka się do zamknięcia. Teraz fakt, że znalazłem się poza celą w środku nocy, wydał mi się czymś złym. Cienie wydłużały się, jakby chciały mnie schwytać. Wszystko było jakieś za duże. Słyszałem, jak głośno wali mi serce. Z czoła spływały ciężkie krople potu. Chciałem wracać. Chciałem znów usłyszeć, jak zamykają się za mną drzwi celi. Wtedy zrozumiałem, co czuł nasz chomik, kiedy w któreś Boże Narodzenie wybrał się na spacer.

Od głównej bramy dzieliły nas cztery pary drzwi. Walsh otworzył pierwsze trzy bez żadnego problemu. Ale kiedy przekreślił czwarty klucz, zawyły syreny i cały świat oszalał.

Wspięliśmy się po schodach i byliśmy dość wysoko. W dodatku gdzieś na zewnątrz. Chłodne powietrze przyjemnie owiało mi twarz. Ryk wszechobecnych syren rozdzierał noc. Ktoś zapalił latarkę. Idealnie okrągłe światło ślizgało się po dziedzińcu, licząc cegły daleko pod nami. Aż nagle uderzyło w nas. Na jedną straszną chwilę całkiem straciłem wzrok. Zupełnie jakby światło wybuchło mi w oczach. Myślałem, że spadnę, ale chyba złapał mnie Powers. Poczulem, jak ciągnie mnie gwałtownie do ściany.

Czwarte piętro prowadziło donikąd. Wylądowaliśmy na małej platformie, dziesięć metrów nad ziemią. Czyli na wysokości muru. I dokładnie naprzeciwko jednej z wieżyczek. Niemal widziałem sylwetki strażników za kurtyną światła. Celowali w nas czymś długim i cienkim. Jakoś nie wyglądało mi to na teleskop. Czułem się jak wystawiona do strzału kaczka. Czekałem tylko na gwizd pocisku, który to wszystko zakończy.

Ale się nie doczekałem. Niespodziewanie umilkły syreny i zapadła cisza. Słyszałem krzyki. Pół tuzina strażników wybiegło na dziedziniec. Spojrzałem na Johnny'ego. Jak, u licha, zamierzał nas stąd wydostać? Kazał Timowi stawić się na Heathrow. Zerknąłem na niebo. Chyba myślałem, że zobaczę helikopter. Ale Powers chciał przecież kierowcy, nie pilota. I co teraz?

- Uwaga! - krzyknął Johnny. - Róbcie, co mówię, a nikomu nic się nie stanie.

- Rzuć broń i poddaj się, Powers.

Nie wiem, kto to powiedział. To był po prostu głos z ciemności.

- Nie mam nic do stracenia - odparł Johnny. - Jeśli nie zrobicie tego, co każę, Walsh spadnie.

Pchnął Walsha na skraj platformy. Muszę przyznać, że wiedział, co robi. Gdyby ktokolwiek go trafił, strażnik by zleciał.

- Opuścić most! - darł się Powers. - Natychmiast! Dopiero teraz przypomniałem sobie o moście. Przecież każdą wieżyczkę łączył z więzieniem stalowy pomost, podnoszony i opuszczany automatycznie. Dlatego Johnny zaprowadził nas na górę, a nie na dziedziniec. Ale czy oni go posłuchają? Dłużej nie musiałem sobie zadawać tego pytania, bo usłyszałem cichy brzęk, a powietrze przede mną przeciął zwodzony mostek. Dopóki Powers trzymał Walsha, trzymał w garści wszystkie atuty.

Mostek spuszczonej na platformę i droga wolna. Popatrzyłem na Johnny'ego. Uśmiechał się od ucha do ucha jak dziecko na karuzeli.

- Dobra! - krzyknął do wartowników z wieżyczki. - Rzućcie broń i chodźcie tutaj. Ale powoli i żadnych sztuczek.

Strażnicy wykonali rozkaz i w pół minuty później tłoczyliśmy się w piątkę na wąskiej platformie.

- To ci się nie uda, Powers - powiedział któryś.

- Nie? No to patrz. Chodź, mały...

Miło, że ktoś sobie o mnie przypomniał. Aż do tej chwili nikt nie zauważył, że ja też uciekłem. Trzymając Walsha między sobą, przeszliśmy z Powersem do wieżyczki.

- Podnieś! - syknął Johnny.

Walsh wyciągnął rękę i wcisnął przełącznik. Most znów pojechał do góry..

I tak znaleźliśmy się odcięci w wieżycyce wartowniczej, tuż obok muru. Mieliśmy nawet okno z widokiem na wolność. Tyle że wciąż byliśmy w więzieniu. Gdybyśmy skoczyli, połamalibyśmy nogi. W najlepszym wypadku. Dziesięć metrów pod nami rozpościerał się stuprocentowy więzienny beton.

- Nie wydestaniesz się stąd, Powers - powiedział Walsh, jakby czytał w moich myślach.

- Tak sądzisz? - Johnny spojrzał na mnie. - Widzisz coś, mały?

Wyjrzałem przez okno. Coś tam zobaczyłem. Nie miałem pojęcia, co to jest. Nie samochód. Nie ciężarówka. Przypominało długie prostokątne pudło sunące jakieś cztery metry nad ziemią. Trzymało się na hydraulicznych ramionach, koła toczyły się o wiele niżej. Na dachu przymocowano cztery materace. Pojazd zasuwał z prędkością niecałych trzydziestu kilometrów na godzinę. Ale przynajmniej zbliżał się do nas.

- Nadjeżdża, Johnny - rzuciłem, choć nie bardzo wiedziałem, co właściwie nadjeżdża.

- A to pamiątka ode mnie, Łasica - prychnął Powers. Obrócił pistolet w dłoniach i trzymając za lufę, z całej siły huknął Walsha w głowę. Łasica osunął się na podłogę jak szmaciana lalka. Cieszyłem się, że jeszcze oddycha. Nie przepadałem za nim, ale cóż, facet po prostu wykonywał swoją robotę. Wróciłem do okna. Platforma była coraz bliżej.

- Skaczemy? - zapytałem.

Zawiśliśmy po drugiej stronie okna. Z więzienia nie dobiegały żadne odgłosy. Nikt nas nie widział. Pewnie się nie domyślali, co planujemy. Ciężarówka, albo cokolwiek to było, sunęła ku nam, nie zwalniając. Jechała znacznie szybciej, niżbym chciał. W dodatku kierowca chyba nie do końca wiedział, co robi. Pojazd krążył po całym terenie, objijając opony o krawężnik. W którymś momencie ostro zakręcił i już myślałem, że nas minie, kiedy równie niespodziewanie zawrócił.

- Teraz! - krzyknął Powers.

Skoczyliśmy.

Spadaliśmy dość długo. Czułem się tak, jakbym utkwiał w powietrzu na lata. Tak musiała się czuć Alicja w drodze do Krainy Czarów. Ryk maszyny rozsadzał mi czaszkę. Wreszcie uderzyłem w materac, przeturlałem się i jakimś cudem utrzymałem na dachu. To nie było miękkie lądowanie. Szczęśliwie nie zламаłem nic oprócz kilku sprężyn.

Johnny wylądował obok mnie.

- Do środka - powiedział.

Platforma nadal jechała zygzakiem. Może nie osiągnęła zabójczej prędkości, ale wysokość owszem. Było skąd spadać. Z wiatrem gwizdającym we włosach przeczołgałem się na koniec dachu. Poda mną otwierało się kwadratowe wejście. W środku zauważyłem światło. Znowu uderzyliśmy w krawężnik, spod kół wyprysnął jakiś kosz na śmieci. Zaciskając zęby, chwyciłem się dachu i zawisłem w przestrzeni. Droga uciekała mi spod nóg. Usiłowałem wchuścić się do środka. Wreszcie wciągnęła mnie para silnych rąk. Wstałem chwiejnie i zamrugałem. Dopiero wtedy zorientowałem się, jaki to wehikuł umożliwił nam ucieczkę.

Może widzieliście go kiedyś na lotnisku. Nazywają je autobusami transferowymi, czy coś w tym stylu. Wyobraźcie sobie zwyczajny autobus, który ma więcej siedzeń i jasne, neonowe światła. Teraz włóżcie metalowe dźwignie między koła a podwozie. Kiedy wysiadacie z samolotu, jesteście mniej więcej cztery metry nad ziemią. Ale nie potrzebujecie schodów. Kierowca po prostu naciska odpowiedni guzik i cały autobus jedzie do góry, aż do drzwi samolotu. Wy wchodzić do środka, a pojazd siada z powrotem na kołach i rusza w stronę hali przylotów, dokąd docieracie szybko, gładko i bez problemów, o ile oczywiście kierowcą nie jest Tim Diament.

Ale naszym kierowcą był Tim. Siedział w miniaturowej kabinie, otoczony lampkami i przyciskami. Wydawał z siebie najdziwniejsze odgłosy, sapiąc i piszcząc przy każdym ruchu kierownicą.

- Synku! - powiedział za mną jakiś głos.

Odwróciłem się. Powers wlepił wzrok w mężczyznę, który wciągał nas do środka. Tylko że to wcale nie był mężczyzna. Nawet nie musiałem pytać o imię tej pani.

Mamuśka Powers. Matka Johnny'ego.

Na pierwszy rzut oka wydawała się całkiem normalną matką - normalna pani koło pięćdziesiątki, ubrana w czarną poważną spódnicę, dopasowaną kurtkę i kwiciastą koszulę zapiętą pod szyję. Jej siwe włosy skrywał czarny aksamitny kapelusik. Makijaż ograniczyła do smugi czerwonej szminki na cienkich wargach. Oprócz złotych kolczyków i kamei w kształcie róży nie nosiła innej biżuterii.

Od innych znanych mi matek pani Powers różniła się tym, że trzymała w rękach karabin. Im dłużej na nią patrzyłem, tym mniej ją lubiłem. Jej skóra przypominała skórę krokodyla. Nijakie oczy Mamuśki, podobnie jak oczy Johnny'ego, przypominały dziury po pociskach w drzwiach lodówki. Miała twardą, pochmurną twarz - kiedy mówię „pochmurną”, myślę o chmurach gradowych i burzowych. Rzadko odsłaniała w uśmiechu żółte i krzywe zęby, stłoczone w wąskiej szczęce jak pasażerowie metra w godzinach szczytu.

- Jak leci, Johnny? - spytała. Mówiła dokładnie tak jak on, tylko niższym głosem.

- W porządku, Mamuśka - powiedział Powers. - Od razu lepiej, odkąd cię widzę.
- Twój przyjaciel? - wskazała mnie głową.
- Zgadza się. Nick, chodź, przywitaj się z moją Mamuśką.
- Nie teraz, syneczku. Musimy spadać.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy usłyszałem wycie nadjeżdżających samochodów policyjnych. Przez okno widziałem niebieskie błyski. Tim jęknął. Wciąż jechaliśmy jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę. Przy tej prędkości złapaliby nas w ciągu kilku sekund.

- Idź do brata - rozkazała Mamuśka Powers. - Ja ich zatrzymam.

Chwyła mocniej broń i poszła na tył.

- To Pazur załatwił ten autobus?
- Tak, synku. Kuloodporne szyby, ścięty tył. No i podrasowany silnik. Szkoda, że nie mamy podrasowanego kierowcy. - Łypnęła na mnie groźnie. - Każ mu dodać gazu.

Pobiegliśmy na przód autobusu. Tim miał śmiertelnie bladą twarz, wielkie oczy i ręce kurczowo zaciśnięte na kierownicy. Bałem się, że ją wyrwie.

- Nick...! - krzyknął na mój widok.
- Nie teraz, Tim - powiedziałem.
- Możesz to opuścić? - rzucił Powers. Wciąż byliśmy cztery metry nad ziemią, czyli wyżej niż sięga drugi pokład londyńskiego autobusu. Tylko że tu nie mieliśmy tego pierwszego.

- Nie wiem jak - wykrztusił Tim.
- Mamuśka ci nie pokazała?
- Owszem, pokazała. Ale już zapomniałem.
- Na następnym w lewo! - krzyknęła Mamuśka.

Tim kopnął pedał i szarpnął kierownicę w lewo. Autobus ruszył z nową siłą, ostro ścinając zakręt. Przez jedną straszną chwilę jechaliśmy na dwóch kołach. Już myślałem, że leżymy, ale pojazd w cudowny sposób wrócił do pionu.

- Opuść nas! - wrzasnęła Mamuśka Powers.
- Opuść nas! - wrzasnąłem ja.

Zobaczyłem go w momencie, kiedy braliśmy zakręt - w czerwonym trójkącie: UWAGA, NISKI MOST, OGRANICZENIE WYSOKOŚCI DO TRZECH METRÓW. Czyli około metra za mało. Tim też to zauważył i zdjął nogę z gazu, więc natychmiast zaczęliśmy zwalniać. Z tyłu dobiegł nas terkot pistoletu maszynowego.

- Nie stawać! - krzyknęła Mamuśka.

Piastowała karabin niczym niemowlę. Chociaż jeszcze nigdy nie widziałem dymiącego niemowlaka. Za jej plecami zobaczyłem, jak pierwszy z policyjnych samochodów dotarł do zakrętu. Mimo naszego podrasowanego silnika szybko nas doganiał. Za nim jechały kolejne cztery.

- A co ja niby robię? - jęczał Tim.

- Po prostu jedź. Szybko - powiedział Powers. Tim już chciał dyskutować, ale coś w tonie Johnny'ego kazało mu to jeszcze przemyśleć. Pisnął cicho i nacisnął gaz. Wystrzeliliśmy naprzód.

Pistolet znowu zaterkotał. Droga zwięzła się, po obu stronach wyrósł nagle płot z drutem kolczastym. Można było tylko jechać przed siebie. Ale właśnie tuż przed nami wylaniał się powoli niski most kolejowy. Widziałem już tory. Patrzyłem na nie z góry. Pomyślałem, że przy tej prędkości walniemy w nie za jakieś pół minuty, a metalowe pudełko autobusu trzaśnie prosto w mur. Wołałem na razie nie wyobrażać sobie, co się stanie z pasażerami.

Powers pobiegł do matki - może chciał ją ostrzec. Ja zostałem z Timem, walcząc o zachowanie równowagi, kiedy odbijaliśmy się od krawężników. Pędziliśmy prosto w most. Tim już nawet nie próbował obniżyć autobusu, dla bezpieczeństwa wołał mocno trzymać się kierownicy. Rozpaczliwie przyglądałem się kontrolkom. Po co komu tyle przycisków? Mamuśka Powers strzeliła po raz trzeci. Tym razem trafiła. Syrena najbliższego samochodu umilkła, usłyszałem wizg opon, trzask metalu, a na końcu wybuch. Most świecił czerwonym blaskiem. Dwadzieścia sekund do zderzenia.

Rzuciłem się na kontrolki. Jak szalony przełączałem przyciski i zapalałem lampki we wszystkich możliwych kolorach. Wyłączyłem światła, otworzyłem drzwi, podwyższyłem siedzenie i ustawiłem lusterka. Ale nie opuściłem autobusu. Za mną Powers strzelał z pistoletu, który zabrał z więzienia. Mama i jej synek najwyraźniej znakomicie się bawili. Na miejsce pierwszego samochodu wyjechał kolejny. Rodzinka zaczęła strzelać. Z tablicy rozdzielczej wyskoczyła popielniczka. Dziesięć sekund do zderzenia.

Widziałem most przed sobą, wypełniał całe okno. Tim chyba szeptał jakąś modlitwę. Walnąłem ręką w kontrolki. Trafiłem na czarną kulę na końcu małej dźwigienki. Przesunąłem ją do przodu. Pod podłogą rozległ się syk. Hydrauliczne ramię zadziało. W tym samym momencie autobus zaczął się opuszczać, jak na koniec zabawy w wesołym miasteczku.

Zostało nam kilka sekund, żeby zdążyć.

- Tim, hamulec! - wrzasnąłem. Walnęliśmy w most.

Prześlizgnęliśmy się z trudem, tylko materacom się nie udało. Słyszałem, jak szorują po dachu. Potem przekoziółkowały na drogę, blokując przejazd policji. Samochód skręcił gwałtownie, żeby je ominąć, zaliczył krawężnik i trzasnął w ogrodzenie. W końcu rozbił się na latarni. Mamuśka ryknęła śmiechem.

- Dobra robota, mały! - zawołał Johnny.

Nie było jeszcze po wszystkim. Zdjęliśmy dwa z pięciu policyjnych samochodów. Prosty rachunek wskazuje, że trzy nadal pędziły prosto na nas. Mamuśka wystrzeliła serię. Poszła im szyba, ale wciąż się zbliżali. Dwa wysforowały się naprzód. Jeden został, siedział nam na ogonie.

Droga zrobiła się szersza. Te dwa wystrzeliły do przodu i ustawiły się nam po bokach. Wyglądaliśmy jak kanapka. Oni - dwie kromki chleba, my - plasterek bekonu.

- Nick... - wymamrotał Tim.

W środku nocy na ogół nie ma specjalnego ruchu. A jednak prosto na nas waliła ciężarówka. Z dwoma samochodami po bokach zajmowaliśmy całą szerokość jezdni. Ktoś musiał ustąpić.

Ustąpiła ciężarówka. W ostatniej sekundzie, oślepiając nas światłami i ogłuszając klaksonem, skręciła gwałtownie, zjechała z drogi i wbiła się w pole. Wiozła jajka. Wiem, bo parę sztuk plasnęło w naszą przednią szybę. Ciężarówka uderzyła w drzewo, przewróciła się i stanęła w płomieniach, ale nie przestała wyć. Potem dowiedziałem się, że nikomu nic się nie stało. Po prostu usmażyłem omlet z pięćdziesięciu tysięcy jaj.

Pędziliśmy z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Przed nami samochody żwawo uciekały z drogi, nie troszcząc się specjalnie o to, gdzie wylądują. Ale to już nie był nasz problem. Policja jechała milimetry od nas. Dwa samochody opuściły szyby. Dwa pistolety wycelowały prosto w nas. Jeszcze sekunda, a Tim i ja przypominilibyśmy ser szwajcarski. Nie mogliśmy zwolnić, bo ten trzeci samochód siedział nam na karku, a szybciej jechać już się nie dało. Już nas mieli.

Patrzyłem na policjanta zaciskającego palec na spuście. Nasze oczy spotkały się na chwilę. To koniec. Nic nie można było zrobić.

Nic? W ostatniej chwili trzasnąłem ręką w kontrolki. Autobus poderwał się do góry. Dokładnie w tym samym momencie wystrzeliły dwa pistolety. Pociski przeszły pod nami. Samochód z lewej trafił w samochód z prawej. Samochód z prawej rozdarł opony temu z lewej. Oba przekoziółkowały w różnych kierunkach.

Cztery załatwione. Został jeszcze jeden.

Chyba trochę za mocno popchnąłem dźwignię. Gdzieś nastąpiło spięcie. Nie skończyliśmy się jeszcze wznosić na hydraulicznym ramieniu, kiedy znowu zaczęliśmy zjeżdżać. I tak w kółko, góra - dół, góra - dół, jak na jakiejś szalonej karuzeli.

- Co ty robisz?! - zawołał Powers.

- Trochę się zepsuło - zauważył Tim.

To był eufemizm roku. Z tablicy rozdzielczej posypały się iskry. Poczuliśmy swąd palonej gumy, a w powietrze uniósł się kłęb dymu. Góra - dół. Góra - dół. Mój żołądek zaprotestował. Staralem się trzymać w jednej pozycji.

Wtedy przyspieszył piąty samochód. Ostatni. Kierowca najwyraźniej uznał, że on da sobie z nami radę. Mamuśka Powers otworzyła torebkę i wyjęła zapasowy nabój. Razem z Johnnym wychyliła się do przodu, żeby lepiej wycelować. Tablica rozdzielcza płonęła. Silnik wył, błagając, żebyśmy stanęli. Dźwignie skrzypiały i trzaskały. Ocenilem, że zostało nam jakieś kilka minut, zanim cała maszyna rozleci się na kawałki. Albo wybuchnie.

Tych kilka minut mijało bardzo szybko.

Przez chwilę byliśmy w górze, sekundę później patrzyliśmy w okna samochodu, który próbował zablokować nam drogę. Mamuśka wycelowała. Wtedy rozpoznałem pasażerów na tylnym siedzeniu.

- Nie! - krzyknąłem.

Snape i Boyle. Nie miałem pojęcia, co tam robili, ale wiedziałem, że to oni. Mógłbym nawet przysiąc, że Snape mrugnął do mnie, zanim Mamuśka zaczęła strzelać. Krzyczałem, dopóki nie uciszył mnie szczęk karabinu. Okno Snape'a pękło tuż przede mną na tysiące odłamków. Z opon zostały wstążki gumy. Lusterka i klamki wytrysnęły w noc. Samochód, niekierowany już przez nikogo, otarł się o nas, po czym z całą siłą uderzył w krawężnik; Odbił się, wykonał salto w powietrzu i wylądował w budce telefonicznej. W parę sekund później wybuchł.

Nie żyli. Snape i Boyle nie żyli. Nie mieli żadnych szans. Jedyne ludzie, którzy wiedzieli, że zostałem wrobiony, jedyni, którzy mogli mnie z tego wyciągnąć, zginęli.

Nie płakałem tylko dlatego, że nie było na to czasu.

Przed nami był ostry zakręt. Tim krzyknął. Spojrzałem na niego - rozpaczliwie kręcił kierownicą. Ale bez skutku - jechaliśmy za szybko. W dodatku platforma znów podjechała do góry. Mamuśka Powers opuściła broń, Johnny zaklął. Wylecieliśmy z zakrętu i zjechaliśmy z drogi. Jednocześnie zjechaliśmy w dół z całym naszym autobusem. Pojazd przeciął ogrodzenie i uderzył w budynek. Tim nie zdążył nawet kopnąć hamulca. Z pełną prędkością grzmotnęliśmy w mur.

To znaczy, grzmotnęły koła. Ale w chwili uderzenia dźwignia znów nas poderwała. Koła, silnik i podwozie roztrzaskały się o mur. Sam autobus znalazł się na wysokości pierwszego piętra. A na pierwszym piętrze było wielkie okno.

Siła zderzenia zdarła autobus z podwozia. Kiedy wybuchła benzyna i podwozie stanęło w płomieniach, sam autobus staranował szybę i ruszył ślizgiem przez pusty biurowiec. Nic nas nie zatrzymało. Niesieni siłą rozpędu przejechaliśmy przez całe piętro i wraz z kolejną eksplozją szkła wystrzeliliśmy drugim oknem na zewnątrz..

- Tym razem to koniec - mamrotałem do siebie. - Teraz musimy umrzeć.

Okna biurowca wychodziły na Tamizę. Wylądowaliśmy więc nie z trzaskiem, a z pluskiem. I kiedy odważyłem się otworzyć oczy, okazało się, że łagodnie unosimy się na wodzie. Potłuczeni, roztrzęsieni i wyczerpani. Ale żywi.

Dryfowaliśmy. Dookoła Londynu stały blokady, ale my przepłynęliśmy obok. Nikomu nie przyszło do głowy zawiadomić policji wodnej. Byłem wolny. Za murami. Ale Snape i Boyle nie żyli.

Co miałem robić?

Wapping

To zabawne, jak często Tamiza pojawia się w moim życiu. Kiedy szukałem diamentów Sokoła, zamknęli mnie gdzieś na brzegu i omal nie utonałem. Kiedy następnym razem wybierzecie się na przejażdżkę w dół rzeki, startując z molo przy Charing Cross, rozejrzyjcie się, czy gdzieś nie unosi się z twarzą w brudnej wodzie jakiś dzieciak w dzinsach i workowatym swetrze. To będę ja.

Rzeka zaniosała nas aż do Wapping. Albo przyплыw szedł w naszym kierunku, albo wpadliśmy do wody po drodze do Walii. Tak czy owak, był to kawał drogi. Przepłynęliśmy pod Vauxhall Bridge, obok budynków Parlamentu, Somerset House i Teatru Narodowego. Potem skręciliśmy pod dawną Bramą Zdrajcy, minęliśmy Tower, odrodzony port Świętej Katarzyny i dotarliśmy niemal do Psiej Wyspy.

Wschodni Londyn. Królestwo Johnny'ego. Powers najwyraźniej cieszył się, oglądając je w półświatle zimnego poranka.

Wszystko było szare: niebo, woda, wraki starych barek. Długi, płaski południowy brzeg rzeki zdobiły porzucone dźwigi, butle z gazem oraz zapuszczone wieże kościelne na horyzoncie.

Przycumowaliśmy od północnej strony do cypla wystającego pomiędzy dwóch magazynów. Wokół nikt się nie kręcił. Pewnie już od pięćdziesięciu lat. Tylko jakaś barka stojąca w starej przystani dzielnie się opierała koszmarnemu odorowi Tamizy. Drżąc z zimna, wygramoliliśmy się z rozbitego autobusu i wyszliśmy na prawie suchy ład.

- Dokąd teraz pójdziemy? - zapytałem.

- Do domu - odparła Mamuśka Powers, patrząc na mnie lodowato. Może po prostu zmarła. A może nie żywiła do mnie cieplejszych uczuć.

- Wschodni Londyn - wymamrotałem. - To będzie pierwsza myśl policji.

- Jasne. - Johnny walnął mnie w plecy. - I dlatego przyjdą tu na końcu.

Kiedy Tim wreszcie podniósł tyłek, ruszyliśmy do centrum Wapping. Jeśli to było centrum, nie chciałbym zobaczyć peryferii. Przed nami wyrósł metalowy gąszcz rusztowań i dźwigów. Połowa budynków się rozpadała. Połowa nigdy nie została do końca zbudowana. Nie umiałbym stwierdzić, które są które. Całość przypominała upiorną pajęczynę z przerdzewiałego metalu, poprzątaną gdzieś tam starymi, poszarpanymi afiszami. Nie zauważyłem chodnika. Nie wiedziałem, gdzie kończy się ulica, a zaczyna rynsztok.

Minęliśmy to złomowisko i dotarliśmy do drogi skracającej pod kątem prostym. Przecinała ją barierka z wielkim czerwono-białym znakiem: DROGA ZAMKNIĘTA. Zablokowały ją rozpadające się rusztowania, które podierały rząd brudnych, walących się domów. Zatrzymaliśmy się przy czwartym. Mamuśka Powers wygrzebała z torebki pęk kluczy. Otworzyła drzwi i weszliśmy do środka. Nareszcie w domu.

Johnny musiał się gdzieś zaszyć na jakiś czas. Trzeba przyznać, że wybrał wyjątkową norę. Dom miał dwa piętra. Miał, ale najwyższe niestety się zawaliło. Parter składał się z dużego pokoju z telewizorem, kanapą, stołem i krzesłami, połączonego z kuchnią. Kuchnia była kiedyś oddzielnym pomieszczeniem, dopóki nie runęła jedna ze ścian. Z dwóch par drzwi pierwsze prowadziły do toalety, a drugie do sypialni. Na górze znajdowały się pozostałe dwie sypialnie i łazienka. Zobaczyłem nawet wannę - przez dziurę w suficie.

- Nie majak w domciu - wymamrotałem.

- Tu jest bezpiecznie - powiedziała Mamuśka.

- Bezpiecznie? - Nerwowo postukałem w gzyms. Kawalek odpadł. - Nie róbcie ze mnie idioty.

- Policja nie będzie nas tu szukać - powiedział Johnny. - To Mamuśka miała na myśli.

- A sąsiedzi?

- Nie ma żadnych sąsiadów - burknęła Mamuśka Powers. - Domy już od dawna zostały przeznaczone do rozbiórki.

- I chyba skończyły zgodnie z przeznaczeniem.

- Naprawdę ładnie to wszystko urządziłaś, Mamuśka - mruknął Johnny z uśmiechem.

Pewnie, zrobiła, co mogła. Na stole stały świeże kwiaty, a na kanapie leżały własnoręcznie uszyte poduszki. Był okrągły dywan i kilka obrazków na ścianie, w oknach wisiały całkiem ładne zasłony. Tyle że z równym skutkiem można by kupić nowe sztuce do jadalni „Titanica”. Już po zatonięciu. Ten dom był jedną wielką katastrofą. Rdza, wilgoć, robaki, pleśń... idealne miejsce na obóz przetrwania. W dodatku wystarczyło tylko kichnąć, żeby zmienił się nagle w biwak pod gołym niebem.

Drzwi od sypialni otworzyły się i do pokoju wszedł chłopak w wieku Johnny’ego. Był bardzo szczupły i tak obsypany trądzikiem, że przypominał muchomora. Natan Pazur. Bez przerwy obgryzał paznokcie. Właściwie zabierał się już do palców. Jeszcze trochę, a nazwą go Natan Kosteczka.

- Udało ci się, Johnny - powiedział, uśmiechając się nerwowo.

- Jasne, że mi się udało. - Johnny podszedł do niego. - Ale nie dzięki tobie, kretynie.

- Przepraszam cię, Johnny - zaskomlał żałośnie Pazur. Kąsał teraz własny nadgarstek.

- Byłem chory. Nie mogłem prowadzić - zamilkł. - Ale przygotowałem ci samochód - dodał z nadzieją w głosie.

- Dobrze się spisałeś, mały. - Johnny dał mu przyjacielskiego kuksańca w brzuch. Pazur zgiął się wpół. - A teraz przygotuj nam śniadanie. Kawa ma być dobra i mocna.

Tim patrzył na to wszystko, stojąc przy drzwiach wejściowych. Nie odezwał się ani słowem i to było najlepsze, co mógł zrobić. Niestety potem wysunął się przede mnie i usiadł ciężko na krześle. Tak ciężko, że z gzymsu odpadł kolejny kawałek.

- Niewiarygodne - powiedział.

- Co to za jeden, synku? - zapytała ostro Mamuśka. Włożyła karabin do stojaka w kącie, zupełnie jakby to była parasolka. - Spotkałam go na lotnisku, tak jak się umawialiśmy, ale bredził od rzeczy. Coś o wypatrywaniu samolotów.

Johnny zaśmiał się, skręcając kolejnego papierosa.

- Mamuśka - zaczął - nie poznałaś jeszcze mojego przyjaciela, Nicka Diamenta. W pudle uratował mi życie. A to jego starszy brat Tim.

- Tim? - Mamuśka Powers patrzyła na niego podejrzliwie. - Gdzie pracujesz, Tim?

- Jestem prywatnym detektywem - odparł mój brat. Zaległa martwa cisza. Natan Pazur upuścił talerz.

Johnny otworzył szeroko oczy. Atmosfera zrobiła się tak gęsta, że dałoby się ją posiekać. Ja wolałbym posiekać Tima. Czy on musiał im to mówić? Nie mógł się podać za

księgowego, listonosza, neurochirurga czy kogokolwiek innego? Snape powiedział mi, że Johnny nienawidzi policjantów. Czułem przez skórę, że nie przepada także za detektywami.

- Prywatny detektyw? - powtórzył, a oczy mu się zwęziły.

- Zgadza się - rzuciłem, zanim ktokolwiek zdążył coś dodać. - Tim jest detektywem do spraw... - Z kranu, którego Pazur nie dokręcił, kapąca woda. -...Eee... oszustw hydrologicznych. On bada wodę.

- Co można badać w wodzie? - nacierała Mamuśka.

- No, wszystko - odparłem. - Stężenie chloru. Bakterie... eee... i oczywiście H.

- Jakie H?

- No... wiecie... woda to H₂O. A Tim musi sprawdzić, czy jest wystarczająco dużo tego H. Pracuje dla Towarzystwa Ochrony Tamizy.

- Aha. - Mamuśka Powers wolno pokręciła głową. - Może dlatego tak mętnie gada.

Pierwsze lody - albo przynajmniej wody - zostały przełamane. Pazur nakrył do stołu i usiedliśmy do śniadania. Podał kanapki z bekonem, mocną kawę, otręby w proszku i jogurt grejpfrutowy. Te ostatnie potrawy na specjalne życzenie Mamuśki. Bez broni niczym nie różniła się od zwykłych matek. Chyba już bardziej podobała mi się z karabinem.

- Nie wyglądasz najlepiej, synku - powiedziała. - Dobrze cię karmili?

- Jasne, Mamuśka.

- Jadłeś owocki? Spróbuj jogurtu.

- Czuję się świetnie, Mamuśka.

- A może mama przyniesie ci cukru?

- Mamuśka...

- Jogurt jest bardzo zdrowy, Johnny - wciął się Pazur, oblizując łyżeczkę.

Nie powinien był tego mówić. Johnny nagle chwycił swoje opakowanie i roztrzaskał mu je na twarzy. Jogurt ściekał powoli po szyi Pazura. Mamuśka Powers uniosła brwi, ale nie odezwała się ani słowem. Tim westchnął i sięgnął po otręby w proszku. Nie wyglądał najlepiej. Nerwy chyba też miał w proszku.

Johnny rozpogodził się po kilku minutach, kiedy skończył kawę i włączył telewizor. Poranny program już się zaczął. Pierwsze, co zobaczył, to swoje własne zdjęcie zrobione przez policję kilka miesięcy wcześniej.

...Wczorajsza brawurowa ucieczka ze Strangeday Hall. Powers, odsiadujący piętnaście lat za napad z bronią w rękę, jest niezrównoważonym psychopata. Policja ostrzega, że wszelkie kontakty z nim mogą być niebezpieczne. Prawdopodobnie jest uzbrojony.

Prezenter miał podkrążone oczy i bardzo się starał nie ziewać.

W ucieczce towarzyszył Powersowi trzynastoletni Nicholas Diament...

Wtedy zobaczyłem siebie w telewizji. Ta sama fotografia, którą drukowały gazety. Młody, niewinny, uśmiechnięty - aż trudno było uwierzyć w to, co o mnie mówił.

Diament został aresztowany niespełna miesiąc temu w związku z brutalną kradzieżą w Woburn. Jest agresywny i pozbawiony wszelkich skrupułów. Jeśli Johnny Powers to Wróg Publiczny Numer 1, Diamenta musimy nazwać Wrogiem Numer 2.

Policja wciąż poszukuje Tima Diamenta, starszego brata Nicholasa, podejrzanego o udzielenie pomocy w ucieczce.

Johnny wyłączył telewizor.

- Szukają mnie - jęknął Tim. Gapił się w pusty ekran, jakby się bał, że prezenter wyskoczy i wciągnie go do środka.

- Jasne, że cię szukają. - Johnny uśmiechnął się do mnie. - Wróg Publiczny Numer 2! Szybko idziesz w górę, nie, mały?

- Taaa. - Usiłowałem wyglądać na zachwyconego. Nie było mi łatwo. - Co teraz, Johnny?

- Teraz pójdziesz spać. Wszystkim się przyda drzemka. Prawda, Mamuśka?

- Oczywiście, Johnny.

- Tymczasem Pazur zbierze resztę chłopaków. Niech przyjdą o czwartej. A, Pazur... kup jakieś herbatniki czy coś w tym stylu.

- Jasne, Johnny.

- Dobra. - Johnny poklepał mnie po ramieniu. - Wróg Publiczny Numer 2. Podoba mi się, mały. Pasuje do ciebie.

W końcu zostałem sam z Timem.

Dzielił się sypialnię na piętrze. Była mniej więcej tak wygodna jak salon. Dwa łóżka waliły się na siebie, krzesło brakowało jednej nogi, a szafie drzwi. Okno wychodziło na teren budowy, ale przez brudną szybę i tak nic nie widzieliśmy.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nic odezwał. Tim wyglądał fatalnie. Twarz miał pokrytą kurzem, a włosy sterczały mu z jednej strony.

- Jak mogłeś mnie tak urządzić, Nick? - zapytał w końcu. - Mój własny brat. Najpierw kradzież, teraz to... I jeszcze ten cały Johnny Flowers! Kryminalny świr! A ta jego Mamuśka! Jak mogłeś? Policja mnie szuka. W końcu mnie dopadną, zamkną i nigdy już nie znajdę Szkarłatnego Pawia ani nie dostanę następnej pracy. Pewnie dadzą mi dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat, Nick! To nie byle co. Ja się skicham! - Walnął pięścią w poduszkę. W powietrze wzbił się tuman kurzu, a mój brat kichnął głośno.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Nie zrobiłem tego, Tim. Nie ukradłem żadnego karbunkułu.

- Nick, ale sędzia...

- Wrobili mnie. Nic nie podejrzewałem, chociaż powinienem się domyślić.

Powoli opowiedziałem mu o wszystkim. O wizycie Snape'a i Boyle'a, o Parkanie, o opactwie Woburn i Johnnym Powersie. A potem powtórzyłem całą historię prostszymi słowami. Mówiłem przez dwadzieścia minut, a Tim ciągle nerwowo chwycił za materac. Nie byłem pewny, czy chwycił całą prawdę. Ale kiedy wreszcie skończyłem, popatrzył na mnie i podrapał się w głowę.

- To znaczy, że ty tego nie zrobiłeś? - zapytał.

- Właśnie próbowałem ci to wytłumaczyć.

- I wiedzą o tym tylko Snape i Boyle. Ale Snape i Boyle...

- Tak. Przyładowali.

- Komu?

- Przyładowali w mur. Nie żyją.

- No to co robimy?

Wstałem i podszedłem do drzwi.

- Nie wiem - przyznałem. - Myślę, że możemy tylko próbować znaleźć tego całego Parkana. Kiedy policja nas dopadnie, będziemy mogli się targować. Ale na razie... - Odwróciłem się do Tima. - Na razie musisz przekonać Johnny'ego i jego Mamuszkę, że jesteś prawdziwym świrem. Jak się wyda, że pracujesz jako detektyw, zrobią z nami porządek. Sprzątną jak nic!

Tim rozejrzał się po pokoju.

- No, przydałoby się, gdyby trochę tu posprząтали.

- Tim! Zabiją nas! To znaczy strzelą nam w łeb. Zaczynaj myśleć jak gangster. Zachowuj się jak gangster. Bądź gangsterem. I zaczynaj od teraz.

Tim wstał i skrzyżował ręce na piersiach. Uśmiechnął się ironicznie, po czym odrzucił głowę do tyłu.

- Jestem Al Capone - burknął.

- Raczej Al Kaseltzer - wymamrotałem, ale chyba mnie nie usłyszał.

Zostawiłem go tak i poszedłem do łazienki. Zanim otworzyłem drzwi, miałem zamiar się wykapać. Zasłużyłem sobie na chwilę oddechu. Przekręciłem kurek. Rury zaskrzypiały i z kranu pociekła strużka rdzy. Nagle usłyszałem, jak pode mną otwierają się drzwi. Szybko zakręciłem wodę. Wspomniałem, że z salonu widziałem wannę przez dziurę w suficie. Ta

sama dziura pozwoliła mi teraz podsłuchiwać rozmowę na dole. Mamuśka i Johnny Powers myśleli, że są sami.

- Jak głowa, synku? - zapytała.

- W porządku. Już lepiej.

- Będzie OK, nim się tu zwali cały gang?

- Jasne. Spoko.

- Pokaż im, kto tu rządzi, Johnny. Duży Ed już zaczął cię podgryzać.

- Co do Eda mam już pewien plan, Mamuśka.

Ukląknęłam i wyjrzałam przez dziurę. Patrzyłam dokładnie w tył głowy Powersa. Mamuśka stała gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku. I bardzo dobrze. To znaczyło, że ona też mnie nie widzi.

- Najpierw urządzimy jakąś grubszą imprezę - rozkręcał się Johnny. - No wiesz, tak żeby o sobie przypomnieć. Może Centralny Bank Zjednoczonego Królestwa albo Galeria Królowej. Jeszcze nie wiem. No, a potem wykurzę stąd Eda.

- Będziesz potrzebował broni, synku.

- Jasne, Mamuśka. Dlatego muszę dzisiaj spotkać się z Parkanem, jeszcze zanim przyjdą chłopaki.

Nadstawiłam uszu. To było niemal zbyt piękne. A zrobiło się jeszcze piękniej, kiedy Mamuśka Powers zapytała:

- Idziesz odwiedzić Penelopę?

- Taa. Kupię tyle pistoletów, ile trzeba na wojnę.

- No to lepiej się prześpij, Johnny. Nie chcę, żeby mój chłopiec zaczynał jakąkolwiek wojnę z podkrążonymi oczami.

- Rozpieszczasz mnie.

- Kocham cię, Johnny.

Wrócili do sypialni i nic więcej już nie usłyszałam. Ale kiedy wszedłem do pokoju, po raz pierwszy od bardzo dawna poczułem się nieco lepiej. Może Snape i Boyle nie żyją.

Może i szuka mnie policja. Ale nareszcie dowiedziałem się czegoś o Parkanie.

Nie był mężczyzną. Był kobietą. Kobietą o imieniu Penelopa.

Zniknięcie

Sześć godzin później Tim obudził mnie na lunch. Podniosłem powieki i natychmiast opuściłem je z powrotem. Wzięłem głęboki oddech i spojrzałem ponownie. Jęknąłem. To nie sen, nie przywidzenie. Ale nie chciałem wierzyć własnym oczom.

Powiedziałem Timowi, że ma być jak gangster. A on potraktował to dosłownie i znalazł sobie odpowiedni kostium. Przebrał się w staromodny szary dwurzędowy garnitur, białą koszulę i wąski krawat. Do kompletu włożył miękki kapelusz z szerokim rondem. Naciągnął go sobie na oczy, tak że nic nie widział. Chusteczka wystająca z górnej kieszeni dopełniała obrazu. Brakowało tylko karabinu w futerale na skrzypce.

- Wstawaj, mały - rzucił, ledwie poruszając kącikiem ust. - To ja, Duży Tim.

- Skąd masz ten garnitur? - wybełkotałem słabo.

- Znalazłem w szafie. Są też ciuchy dla ciebie. Rusz się, czas na lunch.

Chciałem go zatrzymać, ale zniknął mi z oczu. Błyskawicznie wciągnąłem świeżą koszulę, ale nie zmieniłem spodni i butów, które nosiłem w Strangeday Hall. Zszedłem do salonu.

Po drodze zastanawiałem się, jak Johnny i Mamuśka zareagują na widok Tima. Teraz już wiedziałem. Byli w szoku. Jedli właśnie spaghetti. Ale gdy zobaczyli Tima - Dużego Tima, jak kazał się nazywać - rozdziawili gęby i potrząsali głowami z niedowierzaniem.

Johnny rzucił widelec.

- Muszę wyjść - powiedział. Zerknął na Tima. - Wszystko w porządku z twoim bratem, mały? - zapytał.

- Jasne, Johnny - odparłem. - Po prostu trochę się przemęczył.

- Lepiej się nim zaopiekuj.

- Jasne, Johnny.

Wstał i dotknął lekko dłonią policzka Mamuśki.

- Tylko nie spóźnij się na zebranie, synku.

- Właśnie, chłopcze - zgodził się Tim.

W oczach Powersa dostrzegłem nagle łód. Ale trzymał się w karchach.

- Wracam za parę godzin - powiedział. - Dopóki mnie nie będzie, nikomu nie wolno wychodzić. Zrozumiano?

Poszedł po kurtkę do sypialni. W tej samej chwili złapałem Tima za ramiona i zaciągnąłem do naszego pokoju. Błyskawicznie otworzyłem okno.

- Co robisz? - zapytał Tim.

- Idę za nim - odparłem. - Johnny spotka się z Parkanem i chcę przy tym być.

- Skąd wiesz?

- Później ci powiem - przewiesiłem nogę przez parapet. - Kryj mnie, póki nie wrócę.

- Co mam mówić?

- Ze znowu zasnąłem.

- A jak się zorientują?

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - Powiesz, że poszedłem na spacer.

Wylazłem na parapet, szukając drogi na dół. Nie było to trudne. Okno znajdowało się dość nisko nad ziemią, a wzdłuż ściany pięła się sterta gruzu. Puściłem się i wylądowałem jak kot - na czterech łapach. Miętko jak kot. Cicho jak kot. Ale niestety wylądowałem na kocie. Zamiauczał, potem zawył i uciekł. No to tyle, jeśli chodzi o dyskrecję. Johnny usłyszałby to nawet na drugim brzegu rzeki.

Czołgałem się przez chwilę, oddychając ciężko i zastanawiając się, czy ktoś przyjdzie sprawdzić, co się stało. Gdyby mnie tu znaleźli, powiedziałbym, że wypadłem z łóżka. Ale nikt nie nadchodził. Szczęście mi sprzyjało - może to był czarny kot?

Pobiegłem wzdłuż tyłu domu, starając się bardzo nie potrącić zbyt wielu cegieł. Usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi.

- Na razie, Mamuśka.

- Uważaj na siebie, synku.

Kiedy dotarłem do końca budynku, zobaczyłem Johnny'ego Powersa, zmierzał w stronę rzeki. Schroniłem się za rogiem i tam czekałem, aż przejdzie. Kiedy oddalił się na bezpieczną odległość, ruszyłem za nim.

Dotarł do centrum i skręcił w prawo. Gdy zniknął za rogiem, zacząłem biec. W sobotę na drogach nikogo nie było, a tereny budowy świeciły pustkami. Z jednej strony mnie to cieszyło. Nie chciałem, by ktoś rozpoznał we mnie typa, którego pokazywała telewizja i wszystkie gazety. Ale z drugiej strony utrudniało mi to śledzenie Powersa. Wiedziałem, że jeśli się odwróci, nie mam się za kim schować.

Doszedłem do rogu w samą porę, żeby zobaczyć, jak Powers wchodzi na stację. Stację Wapping. Co robić? Nie miałem pieniędzy na bilet, zresztą i tak na pewno zostałbym rozpoznany. Ale to akurat dotyczyło także Powersa. Im więcej o tym myślałem, tym dziwniejsze mi się to wydawało. Przecież on nie mógł sobie tak po prostu wsiąść do metra i jeździć po Londynie.

Nie zastanawiałem się długo. Zabrałem już tak daleko, że nie zamierzałem się wycofywać. Może umówił się z tą Penelopą na peronie. Może jakieś podziemne przejście prowadziło na drugi brzeg rzeki.

Po prawej stronie zobaczyłem pusty kiosk. Naprzeciw było zejście na perony. Prześlizgnąłem się szybko, zanim ktokolwiek mnie zauważył. Teraz słyszałem kroki Powersa idącego tuż przede mną. Oprócz schodów były jeszcze dwie windy. Zastanawiałem się, czy nie zjechać, ale wtedy wyprzedziłbym Johnny'ego. Gdyby nagle zawrócił, pewnie bym go zgubił.

Betonowe schody łagodnie opadały w dół, owijając się wokół kolumny. Białe ściany błyszczały od farby. Zimne powietrze niesło zapach Tamizy. A w samym środku kursowały dwie jasnoczerwone, nowoczesne windy. Przypominały wehikuł czasu. Właściwie nim były, bo reszta stacji wyglądała jak za panowania królowej Wiktorii.

Johnny Powers skierował się na peron, z którego pociągi jeździły na południe. A więc chciał oddalić się od centrum, w stronę Rotherhithe i New Cross! Przeskakiwałem po dwa stopnie w obawie, żeby nie zdążył mi uciec. Wreszcie dotarłem na peron. Rozejrzałem się. Johnny Powers rozpląnął się w powietrzu.

Poszedłem kawałek dalej. Stację pokrywał zwykły ceglany dach. Jedyne słyszalne dźwięki wywoływało kapanie wody na górze. Krople przemykały przez gęszcz roślin, które jakimś cudem znalazły sobie w starym murze odpowiednie miejsce do życia. Między torami przebiegł szczur. Ani śladu Powersa. Nie widziałem żadnego wyjścia. To oznaczało, że Johnny jeszcze tam był.

Przedemną, na ścianie wisiał plakat przedstawiający tunel. Dowiedziałem się, że Marc Brunei wybudował go jeszcze w latach 1825-1842. Wtedy przez tunele przechodziło się pieszo albo przejeżdżało konno. Ciekawe, czy dałoby się przejść dzisiaj?

Zajrzałem. Nie słyszałem żadnego dźwięku. Jakoś nie sądziłem, żeby Powers był w środku. Tunel wyglądał zbyt ponuro i zbyt niebezpiecznie. Jeden fałszywy krok i lądujesz na elektrycznej szynie. O ile przedtem nie zostałeś rozjechany przez pociąg. Tylko wariat by tu wchodził. Zgoda, Johnny Powers miał nie po kolei w głowie. Ale ten Parkan z pewnością by nie ryzykował. Ja też nie zamierzałem.

Już chciałem stamtąd iść, kiedy coś zauważyłem. Kilka stopni prowadziło z peronu na dół do tunelu. Za wąskim przejściem między trzema gaśnicami i starym kanistrem znajdowały się drzwi.

Uznałem, że warto spróbować, dopóki nikogo nie ma w pobliżu. Przecisnąłem się obok tablicy z zakazem przejścia i poszedłem dalej. Z początku myślałem, że drzwi są zamknięte. Pchałem i ciągnąłem, ale bez skutku. Dopiero kiedy chciałem się poddać, zrozumiałem, że należało je odsunąć. Zrobiłem to. Znalazłem włącznik światła i natychmiast go nacisnąłem.

Ale drzwi przyniosły mi kolejne rozczarowanie. Za nimi zobaczyłem tylko niewielkie pomieszczenie, w którym nie znalazłem nic oprócz dwóch telefonów, kilku śmieci i pięćdziesięcioletniej warstwy kurzu. Jedna strona prowadziła do składu. Drugą pokrywała warstwa białych kafelków, z których wystawał kran. Nawet jeśli Powers odwiedził to miejsce, w tym momencie z pewnością już go tu nie było. Dotarłem donikąd. Wyłączyłem światło. Powers mnie zgubił, a ja wciąż nie wiedziałem jak.

Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do domu, zanim tam za mną zatęsknią. Wjechałem na górę windą i wybiegłem ze stacji niezauważony. Gdzie się podział Powers? Nie wsiadł do pociągu i nie przeszedł przez tunel. Nie miał gdzie się schować. Niemożliwe, żebym go przeoczył. Co za niesprawiedliwość - już myślałem, że zaprowadzi mnie do Parkana. Tymczasem najwyraźniej wyprowadził mnie w pole.

Kopnąłem puste pudełko po papierosach i szedłem ulicą z rękami w kieszeniach. Gdybym się tak bardzo nie rozczarował, może zachowałbym się ostrożniej. Pamiętam, że usłyszałem samochód, ale specjalnie się nad tym faktem nie zastanawiałem. Szkoda, że nie zareagowałem, kiedy zwolnił. Odwróciłem się dopiero na dźwięk otwieranych drzwi. Tylko że wtedy było już za późno.

Ktoś złapał mnie od tyłu i poderwał z ziemi. Krzyczałem, wrywałem się i szarpałem. Wtedy ktoś uderzył mnie pięścią w szczękę i siły mnie opuściły. Dałem się wciągnąć do samochodu. Odjechaliśmy.

Wirowało mi w głowie. Połowa moich zębów zęgną się z pozostałymi. W pierwszej chwili pomyślałem, że złapała mnie policja. Ale błyskawicznie się zorientowałem, że to nie to. O nie. Było o wiele, wiele gorzej.

Duży Ed

W samochodzie było ich trzech. Siedziałem między dwoma na tylnym siedzeniu. Trzeci prowadził. Za mną na półce stał pies, z tych co to kiwają głupawo głową. Ten już nie kiwał, bo nie miał czym. Ktoś mu ją odstrzelił. Wydało mi się to bardzo w stylu tych gości. Gdyby wybrali się do Komnaty Grozy, odstraszyliby eksponaty.

Kierowca przypominał punka. Miał sklezione jasnozielone włosy, dwa kolczyki w uchu i skorpiona wytatuowanego na karku. Kiedy żuł gumę, skorpion kurczył się z każdym ruchem jego szczęki, jakby starał się zwiąć mu ze skóry. Tyle właśnie mogłem zobaczyć z mojego miejsca. I już żałowałem, że nie siedzę gdzie indziej.

Dwaj pozostali faceci mogli być koło trzydziestki. Wyglądali na braci. Albo raczej siostry. Może byli czymś pomiędzy. Obwisłe, nieogolone policzki, wielkie bicepsy, brzuszki od piwa, wygolone głowy... to wskazywałoby na mężczyzn. Ale torebki i kwiciaste sukienki już nie bardzo. Jeden z nich maskował pudrem bliznę biegnącą od oka do policzka. Przydałoby mu się coś więcej - na przykład duża papierowa torba.

Przejechaliśmy przez rzekę, kierując się na południowy zachód. Przez pięć minut nikt się nie odezwał. Uniosłem się na siedzeniu, a jeden z twardzieli wbił mi łokieć w brzuch.

- Siedź spokojnie, ślicznotko - powiedział głosem tak niskim, jakby dobiegał z jego kolan.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem. - Dla kogo pracujecie?

- Dowiesz się w swoim czasie.

Punk zachichotał, budząc skorpiona do tańca. Zacisnąłem zęby. To nie była moja pierwsza przejażdżka tego typu. Ale wiedziałem, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobię, będzie ostatnia. To niesprawiedliwe, myślałem. Jestem za młody, żeby umierać. W dodatku dać się zabić facetom w sukienkach! Co powiedzą rodzice?

Wczekałem, aż samochód zwolni przed czerwonym światłem. Uznałem, że to idealny moment. Wokół nas zrobił się większy ruch, a jeden z typów wyglądał przez okno. Drugi przysypiał na siedzeniu. Złapać klamkę, kopnąć drzwi i zanim się obejrzą, będę wolny. Taki miałem plan.

Ale popełniłem błąd. Nie doceniłem ich. Drgnąłem, a moja ręka wysunęła się o milimetr. Wtedy złapał mnie jeden z tych gości. Chciałem krzyknąć, żeby zwrócić uwagę innych kierowców. Zdążyłem nawet otworzyć usta, zanim coś walnęło mnie mocno w kark. Chyba torebka. Samochód zawirował mi przed oczami. Pomyślałem o psie bez głowy. I odpłynąłem.

Obudziłem się za kratkami. Ale niezupełnie w więzieniu. Znajdowałem się w jakimś długim, wąskim budynku, który może nie do końca był budynkiem, ale go przypominał. Bolała mnie głowa i miałem dziwny posmak w ustach, poza tym czułem się niezłe.

Na zewnątrz usłyszałem szmery, gwizdy i głośny turkot. Teraz wiedziałem już, gdzie jestem. Powinienem się domyślić po twardych ławkach, metalowych półkach, korytarzu wąskim jak w Strangeday Hall, kwadratowych okienkach i krótkofalówce. Wylądowałem w wagonie kierownika pociągu. Ale nie jechaliśmy. Gdzie moglibyśmy być? Na Victoria Station?

Musiałem tu siedzieć już ze dwie godziny. Nawet przez grube zasłony w oknach widziałem, że się ściemniło. Czekałem, aż pociąg ruszy, ale stał twardo w miejscu. Zgłodniałem. Nie jadłem nic od śniadania i zaczynałem mieć nadzieję, że w pobliżu pojawi się strażnik z kanapkami. Zamiast niego zobaczyłem punka.

Nadal żuł gumę i chichotał. W nos wbił sobie pinezkę, niekoniecznie dla dekoracji. Po prostu musiał go czymś przypiąć. Cała jego twarz wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła się rozpaść. Była kredowobiała w czerwone plamy.

Otworzył drzwi. Wstałem.

- Niestety nie mam biletu - powiedziałem.

Zaśmiał się.

- Mówisz po angielsku? - zapytałem. Potrząsnął głową. W ogóle nie umiał mówić. Poszedłem za nim do następnego wagonu. Tam nikt nie zasłonił okien, więc stwierdziłem, że stoimy na bocznicy, obok jakiejś zagrody. Widok ograniczał mi wielki stos drewna, ale zauważyłem jeszcze kłęby drutu kolczastego i beczki z olejem. Pole było ogrodzone i puste.

Drewniane drzwi prowadzące do kolejnego wagonu niezbyt pasowały do pociągu. Punk zapukał, po czym weszliśmy do środka.

Muzyka klasyczna. Pierwsze, co usłyszałem, to Bach albo Vivaldi. Niezły sprzęt, droga wieża stereo. Cały wagon urządził jakiś projektant wnętrz o wyrafinowanym guście i zamiłowaniu do luksusu. Jedwabna tapeta, jedwabne zasłony, dwa żyrandole... umeblowanie mogłoby pochodzić z opactwa Woburn. Obok drzwi stał barek, a jedną ze ścian pokrywały półki z książkami. W kącie płonął sztucznym ogniem sztuczny kominek.

Dwóch gości z samochodu siedziało obok siebie na kanapie. Jeden z nich czytał Harlequina, drugi szydełkował. W pokoju poza nimi zobaczyłem jeszcze dwoje ludzi - mężczyznę i kobietę o nienaturalnie żywym kolorze włosów, ubraną w wąską suknię, która ciasno opinała ją we właściwych miejscach i jeszcze ciaśniej w tych niewłaściwych. Ale to mężczyzna najwyraźniej tu rządził.

Zbliżał się do pięćdziesiątki, nosił frak z szerokimi kłapami i krawat. Jego włosy były tak białe, jakby kiedyś walnął w niego piorun. Oczy miał zupełnie bezbarwne. Palił papierosa w długiej, czarnej cygaretkie i sączył martini.

- Dobry wieczór - powiedział. - Nazywam się Duży Ed.

- Nie wyglądasz na specjalnie wielkiego - wzruszyłem ramionami.

Jeden z siostr podniosła głowę znad książki.

- Nie mówi się tak do Dużego Eda - burknął.

- Dlaczego nie? Przez niego mam teraz dużego guza. Punk znowu zachichotał. Duży Ed strząsnął popiół z papierosa.

- Nicholas Diament - powiedział. Jego miękki, zmęczony głos przechodził w szept. - Bardzo chciałem cię poznać. Umierałem z ciekawości.

- Szkoda, że ci się nie udało. Zignorował tę uwagę.

- Wysłałem dwóch chłopców, żeby szukali Powersa - ciągnął. - Johnny miał szczęście, bo jeszcze go nie dopadli. A ty miałeś pecha - odłożył papierosa i wessał oliwkę z kieliszka. - Z Powersem jeszcze się spotkamy. Ale najpierw zajmujemy się numerem dwa.

- W takim razie proszę o kanapkę i coś do picia - powiedziałem.

Potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz. Wysłałem broń do Strangeday Hall. Trzech moich ludzi miało załatwić Johnny'ego Powersa. Ale ty wszedłeś im w drogę. Jeden z nich się poparzył. Nazywa się Blondas. Własna matka go nie poznała. Czy wspomniałem, że jego matka jest moją siostrą? Widzisz, Blondas to mój siostrzeniec.

Nie były to najlepsze wieści. Wujaszek Ed już się nie uśmiechał, a w jego oczach pojawiły się kolorowe smugi. Jaskrawoczerwone.

- Muszę dopaść Powersa - powiedział. - Ty oczywiście mi w tym nie pomożesz.

- Czyja wiem - wymamrotałem. - Moglibyśmy się dogadać.

- Nie sądzę - wykrzywił wargi. - Możemy się dogadać najwyżej w sprawie twojego pogrzebu.

Wstał. Myślałem, czy nie zmiażdżyć mu głowy jakąś zabytkową lampą, ale szybko dałem za wygraną. Za mną stał punk. A dwie brzydkie siostry ruszały się naprawdę szybko.

- Zamierzam dorwać Johnny'ego Powersa - ciągnął Duży Ed. - Południowy i Wschodni Londyn będą moje. Co to za czasy, że dzieciaki noszą broń? Nic lubię dzieci. Ciebie też nie lubię, Diament. Dlatego twoja wizyta jest skończona.

Pomachał ręką i ja też byłem skończony. Pierwszy skoczył punk, chwytając mnie od tyłu.

- Zrób to na dworze, Spike - rozkazał Ed. - Szrama i Tootsie, pójdziecie z nimi. Do widzenia, Diament - powiedział. - Wspomnij sobie Blondasa. I mnie. Miłego umierania.

Wyciągnęli mnie z wagonu. Pewnie miał wyciszone ściany, bo ledwo znalazłem się na zewnątrz, dotarł do mnie głośny stukot kół o szyny. Zaczęło padać. Na początku tylko lekko siąpiło, ale kiedy zawlekli mnie, broniącego się wściekle, na tory, lało już porządnie. Po kilku sekundach ociekaliśmy wodą.

Przez ten deszcz niewiele widziałem. Wypatrzyłem tylko światła stacji w oddali. Nazywała się Clapham Junction..

Grzęznąc w błocie, przekroczyliśmy sześć albo siedem torów. Zatrzymaliśmy się. Przed nami gwizdnął ekspres Intercity, ciągnąc za sobą smugę światła. Punk pchnął mnie w plecy. Upadłem. Zanim zdążyłem się zorientować, już leżałem przywiązany do torów. Tootsie i Szrama musieli mieć niezłą wprawę - zabrało im to mniej niż minutę. Trzymałem się jak przyklejony.

Ręce przywiązali mi do jednej szyny, nogi do drugiej. Pod głową czułem dotyk chłodnego metalu. Moje ciało leżało gdzieś pomiędzy.

Tootsie przyklęknął obok mnie. Miał zrujnowaną fryzurę i rozmazany makijaż. Ale się uśmiechał.

- Dziś wieczorem przejeżdża tędy jeszcze tylko jeden pociąg - powiedział. - Będzie tu za jakieś dziesięć minut. Nie zatrzymuje się aż do Waterloo. I nie zatrzyma się tylko dlatego, że ty tu leżysz.

- Zaczekaj... - zacząłem, ale wepchnął mi w usta chustkę. Usiłowałem ją wypluć, więc obwiązał mi głowę jeszcze jednym sznurem, omal mnie nie dławiąc.

- Nikt cię nie usłyszy - syknął. - Nikt cię nie zobaczy. Masz dziesięć minut. Pomyśl o tym, ślicznotku. Za dziesięć minut już nie będziesz taki śliczny.

Punk zachichotał po raz ostatni. Tootsie wstał i poprawił sobie sukienkę. Potem otoczył Szramę ramieniem i odeszli. Zostałem sam, rozciągnięty na torze. Deszcz walił coraz mocniej.

Na torach

Pewnego dnia napiszę książkę pod tytułem *Przykre sytuacje*. Autor: N. Diament. Tylko nie szukajcie rozdziału *Jak w ulewnym deszczu odwiązać się od torów, po których z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę pędzi na ciebie pociąg Intercity?* Nie znajdziecie. Bo tego się nie da zrobić.

Kiedy Tootsie, Spike i Szrama sobie poszli, spróbowałem poruszyć nogą, ale z trudem zgąłem duży palec. Chciałem wyslizgnąć rękę spod sznura. Równie dobrze mogłem chcieć latać. Związali mnie naprawdę mocno. Sznur wpijał mi się w ciało, blokując przepływ krwi. Deszcz wcale nie poprawiał mi samopoczucia. Walił tak silnie, że prawie mnie oślepił. Nie widziałem, co robię, ale to akurat nie miało większego znaczenia. Bo i tak nie robiłem nic. Nic nie mogłem zrobić.

W powietrzu rozległ się grzmot. Przekręciłem się w samą porę, żeby dostrzec olbrzymi pociąg rozdzierający strugi deszczu. Przynajmniej z mojego punktu widzenia wydawał się ogromny. Chciałem krzyknąć, ale knebel zduł wszelkie dźwięki. Widziałem nawet, jak tam wysoko, na przedzie pociągu, maszynista pali sobie papieroska. Cały zeszytniałem, chyba nawet zacząłem się modlić.

Pociąg był już prawie nade mną, kiedy usłyszałem głośny szczęk i zobaczyłem, jak skręca. Ktoś tam na górze najwyraźniej zmienił zdanie.

Deszcz lał strumieniami. Jakieś czerwone światło zmieniło się na zielone. Kolejna zwrotnica przestawiła się z trzaskiem. Tor wrócił na swoje miejsce, żeby zanieść następny pociąg do celu. Samotny gołębek zatoczył nade mną krzywe koło. Niebo zagrzmiało.

Nagle zadrzałem. Zdziwiło mnie to, bo myślałem, że drzę przez cały czas. Tym razem jednak to nie byłem tylko ja. Drżały tory pode mną. Na początku wibrowały miękko, a potem z każdą sekundą coraz silniej. Nie widziałem nic. Nie słyszałem nic. Ale czułem, że pociąg się zbliża. I jedzie moim torem.

Chyba właśnie wtedy wpadłem w panikę. Walczyłem jak szaleniec, miotałem całym ciałem, szarpałem sznury rękami i nogami. Ale wszystko na nic. Udało mi się tylko zmiążyć kostki i rozedrzeć spodnie. Zmusiłem się do spokoju. Nie jest jeszcze tak źle, mówiłem sobie. Zdarzają się gorsze rzeczy niż przejechanie przez pociąg. Usiłowałem sobie którąś z nich wyobrazić. Nic jakoś nie przychodziło mi do głowy. Znowu wpadłem w panikę.

Wciąż wilem się nieprzytomnie, kiedy usłyszałem daleki gwizd. Przeciął noc jak pocisk. Pociąg nie mógł być dalej niż parę kilometrów ode mnie, co dawało mi może kilka minut życia. Nick Diament, żył trzynaście lat, siedem miesięcy i kilka minut. Tu spoczywa to, co z niego zostało.

Wtedy pojawił się ten człowiek.

Myślę, że był mężczyzną. Przybył znikąd i stanął nade mną. Głowę miał o kilometr wyżej niż nogi. Nosił polar z kapturem. W tym siekącym deszczu nie mogłem dojrzeć jego twarzy.

- Mmggm - powiedziałem. - Wwwwmm nnnngg... Naprawdę trudno prowadzić uprzejmą konwersację z kneblem w ustach.

Mężczyzna ukląkł i zobaczyłem w jego ręce nóż. Błyskawicznie przeciął sznury krępujące moje nadgarstki. Wstałem, walcząc z kneblem. Tory drżały już wściekle.

Człowiek upuścił nóż i ruszył w swoją stronę. Nie powiedział ani słowa. Nie miałem pojęcia, kim jest, ale szósty zmysł podpowiadał mi, że skądś go znam. Krępy, o szerokich

ramionach. Spod kaptura wystawał chyba jakiś jasny kosmyk. To wszystko, co zauważyłem, zanim odszedł.

- Wracaj! - wrzasnąłem.

Ani się obejrzał, więc zamilkłem. Wołałem nie dawać Edowi do zrozumienia, że jestem już wolny. Zresztą i tak nie miałem specjalnie czasu na pogaduszki. Reflektor pociągu błyszczał niczym oko cyklopa. Chwyciłem nóż i wbiłem go w sznury na nogach. Ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Zanim nóż wypadł mi z ręki, zdołałem tylko dźgnąć się we własną stopę. Pociąg był tuż-tuż. W uszach grzmiało mi wycie silnika. Przeciąłem jeden sznur, potem drugi. Pociąg nadjechał z chrzęstem. Rzuciłem się w bok. Jeszcze sekunda i byłoby po mnie.

Tu-dut, tu-dut, tu-dut, tu-dut.

Nie wiedziałem, czy to huczy pociąg, czy moje serce. Leżałem wtulony w ziemię i nie słyszałem nic poza tym. Pociąg rozdzielił mnie z moim wybawcą. Kiedy wreszcie przejechał, mężczyzna już dawno zniknął.

Wstałem, rozpaczliwie próbując utrzymać równowagę. Podarłem spodnie i poraniłem nogi. Woda lała się ze mnie strumieniami. Musiałem jednak przyznać, że nie jest tak źle. Mogłem wyglądać znacznie gorzej. Kto mnie uwolnił? I jak mnie tu znalazł?

Nie zamierzałem szukać odpowiedzi na środku stacji Clapham Junction. Pomyśleć mogłem później. Teraz wsiałem raczej stamtąd zwiewać - i już robiąc pierwszy krok, zdałem sobie sprawę, że moje problemy bynajmniej się nie skończyły. Gdybym wrócił do Wapping, musiałbym się wytłumaczyć przed Johnnym i jego Mamuską. A oni, co gorsza, ostatnie dwanaście godzin spędzili sam na sam z Timem. Po dwunastu godzinach z Timem na pewno zdążyli wyczuć, że coś tu brzydko pachnie. A raczej cuchnie jak brudna świnia.

Musiałem jakoś odzyskać ich zaufanie. Najlepsza droga do celu biegła zaledwie sto metrów stąd, przez opuszczoną bocznice. I tak zresztą miałem z Edem pewne rachunki do wyrównania. Byłem zmarznięty, potłuczony, przemoczony i wyczerpany. I wściekły. A Powers byłby mi dozgonnie wdzięczny, gdybym usunął Dużego Eda z pola widzenia.

I nawet miałem pewien plan. Wróciłem na bocznice. Beczki. Zauważyłem je, kiedy prowadzili mnie na tory... Było ich dziesięć, każda opatrzona czerwonym napisem: ŁATWOPALNE. WYBUCHOWE. Nic lepiej nie określiłoby mojego nastroju. To nie byli mili ludzie i już najwyższa pora, żeby przydarzyło im się coś wyjątkowo okropnego.

W oknach nie paliło się światło, kiedy podchodziłem do wagonu Dużego Eda. Bałem się, że rozstawili strażę, ale nikogo nie zobaczyłem. Deszcz powoli ustawał. Na szczęście księżyc nadal przysłał chmury. Ostrożnie zbliżyłem się do beczek. Postukałem palcem w

jedną z nich. Była pełna. Zabezpieczał ją metalowy kapsel przytwierdzony do wieka. Spróbowałem go zdjąć. Nie dał się, chyba całkiem przerdzewiał. Ale udało mi się go podważyć nożem. Otworzyłem cztery beczki, nozdrza wypełnił mi ostry zapach chemikaliów..

Przeturlałem pierwszą aż do kół przedniego wagonu - tego z żyrandolami i barkiem. Ropa, albo cokolwiek to było, rozlała się wokół, tworząc lepka kałużę. Starłem się nie ubrudzić, ale i tak pod koniec śmierdziałem jak warsztat po całym dniu roboczym. Przeturlałem trzy z czterech otwartych kanistrów, po jednym na każdy wagon. Pracowałem niemal bezgłośnie, oprócz chrzęstu żwiru i bulgotu wylewającej się ropy ciszy nie zmałił żaden dźwięk. Pięć minut później kryjówkę Eda otaczało miniaturowe jezioro. Z otwartych kanistrów wciąż ciekła ropa.

Wytarłem ręce o spodnie - co tylko pogorszyło ich stan, po czym wróciłem do czwartej beczki. Tę popchnąłem w przeciwnym kierunku, na tory. Wtarganie jej na szyny nie było łatwe - ważyła chyba z tonę. Ale potem poszło gładko. Pasowała idealnie i łatwo dała się toczyć. Teren obniżał się lekko w stronę stacji Clapham, a ja nie miałem nawet problemu ze zwrotnicami. Bez trudu przeturlałem beczkę przez całą drogę. Za mną ciągnął się długi, lśniący strumyczek ropy.

Już rozumiecie? Jezioro łatwopalnej cieczy wokół kryjówki Eda i długi szlak tej samej substancji wiodący aż do stacji. „Po podpaleniu lontu należy szybko się oddalić” - tak piszą na fajerwerkach. Właśnie szykowałem fajerwerki, od których Duży Ed miał oddalić się na zawsze.

Stację Clapham Junction zamknięto już na noc. Potrzebowałem zapalki. Zajął mi to chwilę, ale w końcu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Ktoś zostawił w poczekalni pudełko zjedną zapalką w środku.

Znalazłem budkę telefoniczną i wybrałem numer alarmowy. Centrala zapytała, z kim ma mnie połączyć. Odpowiedziałem, że z policją. Usłyszałem cichy trzask i po chwili odezwał się jakiś głos.

- Tu komisariat policji. Skąd pan dzwoni?

- Szukacie Dużego Eda? - zapytałem.

Cisza. Wyobraziłem sobie zamieszanie po drugiej stronie. Kolejny trzask - może usiłowali mnie namierzyć. Specjalnie się tym nie przejąłem. Pomyślałem, że zniknę na długo przedtem, zanim oni się tu pojawią.

- Halo? - powiedział inny głos.

- Wiem, gdzie znaleźć Dużego Eda. Jeśli go szukacie.

- Kto mówi?

- Mniejsza z tym. - Zadrzałem. Chyba się ochłodziło. - Chcecie go czy nie?

- Chcemy go - powiedział drugi głos. Pewnie przełączyli rozmowę, jeszcze zanim skończyłem mówić. - Gdzie on jest?

- Ma dwa wagony kolejowe na boczniczy w pobliżu stacji Clapham Junction. - odparłem. - Obok zagrody.

- Tam jest mnóstwo pastwisk. Podaj jakieś namiary.

Nie odpowiedziałem. Przyciskając brodą telefon, zapaliłem zapałkę. Płomyk rozświetlił wąską przestrzeń budki. Stojąc w oparach ropy, zdziwiłem się, że to wszystko nie wybuchło.

Rzuciłem zapałkę na peron. Ropa zajęła się natychmiast. Patrzyłem, jak płomień sunie przez peron, ześlizguje się na tory i niczym jakieś mityczne zwierzę o ognistych piórach mknie w stronę wagonu Dużego Eda.

- Jak go znajdziemy? - nalegał głos.

- To nie będzie trudne - powiedziałem. I odwiesiłem słuchawkę.

Koniec świata

Kiedy opuszczałem stację Clapham Junction, uważałem już trochę bardziej. Wciąż ociekałem wodą. Cuchnąłem ropą. Musiałem przedrzeć się przez cały Londyn, w którym dosłownie wszyscy mnie szukali. A gdybym jakoś dotarł do Wapping, pewnie by mnie zastrzelili. Poza tym wszystko było w porządku. Miałem cudowny dzień.

Właśnie ruszałem, kiedy minęła mnie kawalkada samochodów policyjnych z wyjącymi syrenami. Może to ten widok sprawił, że podjąłem decyzję. Nie było sensu wracać teraz do Johnny'ego Powersa i jego gangu. Nawet gdyby doprowadzili mnie w końcu do Parkana, niewiele mógłbym zdziałać. Snape i Boyle nie żyli, kto mi uwierzy?

Ajeśli ktoś widział, jak dwaj policjanci odwiedzili mnie w szkole? Takich ludzi jak inspektor Snape i jego uroczy asystent nie zapomina się łatwo. Gdybym udowodnił, że rozmawiali ze mną przed aferą w Woburn, reszta mojej historii stałaby się bardziej wiarygodna. Tylko kto mógł ich zobaczyć? Zjawili się we wtorek, późnym popołudniem, kiedy wszyscy już sobie poszli. Na to przecież czekali - chcieli być ze mną sam na sam.

A jednak ktoś mógł zostać wtedy w szkole. Peregrine Palis. To byłoby bardzo w jego stylu - zacząć się i pilnować, czy aby nie uciekam. A pokój nauczycielski znajdował się dokładnie pomiędzy wejściem a moją klasą. Jeśli ktokolwiek widział tych dwóch policjantów,

to tylko Palis. W dodatku wiedziałem, gdzie mieszka - niedaleko King's Road, w miejscu zwanym World's End - Koniec Świata. Mogłem tam pójść natychmiast. Miałbym znacznie bliżej niż do Wapping. I z pewnością zastałbym go w domu.

Staralem się nie wychodzić z cienia. Jak na tak późną porę, ulicami pędziło sporo samochodów. Za każdym razem, kiedy mnie mijały, drżałem, usiłując ukryć twarz. Gdyby jakiś policjant zapragnął teraz przejechać przez most, moglibyście się pożegnać z kolejnym rozdziałem.

Dotarłem aż do Chelsea, zanim ktokolwiek mnie zauważył.

Zatrzymałem się na moment przed światłami na King's Road. Po drugiej stronie, przed bankiem stało dwóch policjantów. Z początku udawali, że mnie nie widzą. Byłem w końcu uzbrojony i niebezpieczny. Kątem oka zobaczyłem, jak jeden z nich szturcha drugiego, a potem mówi do rękawa kurtki. Zapewne nie rozmawiał ze swoją pachą. Musiał tam trzymać krótkofalówkę. Wzywał posiłki.

Swobodnym krokiem ruszyłem w lewo i skierowałem się w stronę World's End. Nawet się nie obejrzałem. Wiedziałem, że poszli za mną. Mimo wszystko nie chciałem wypaść z roli. Zwykły, niewinny chłopiec na nocnej przechadzce. Łachmany i smród ropy? Ależ to nic takiego, sierżancie. Zawsze się tak ubieram. Na rogu skręciłem i kiedy tylko zniknąłem im z pola widzenia, zacząłem biec.

Było już za późno. Jeszcze startując, zauważyłem policyjny samochód pędzący w moją stronę z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Oni też mnie zobaczyli.

Nagle zabłyśły niebieskie światła, zawyły syreny. Samochód miotał się po ulicy, próbując przeciąć mi drogę. Z nagłym przypiływem energii rzuciłem się w lewo, minąłem pub i wpadłem w wąską uliczkę. Usłyszałem wizg opon. Przed bramą powstającego osiedla stał kontener. Nie zastanawiałem się, co jest w środku. Po prostu zanurkowałem głową naprzód.

Samochód ściał zakręt i sunął właśnie w dół uliczki. Miałem około pół minuty, zanim zawróci. Z trudem wygramoliłem się z kontenera. Wtedy zorientowałem się, że budynek za moimi plecami to ten, w którym mieszka Palis. A był to elegancki gmach z apartamentami o przyciemnionych szybach, każdy z osobnym balkonem i wyrafinowanym systemem alarmowym. W Chelsea działali wyłącznie wyrafinowani złodzieje. Zastanowiło mnie, skąd zwykły nauczyciel francuskiego wytrzasnął pieniądze na tak snobistyczny adres. Ale nie miałem czasu na pytania.

Wdrapałem się na niski mur otaczający budynek, skąd wskoczyłem na pochyły daszek kotłowni. W tym momencie zobaczyłem błysk światła - wróciła policja. Zatrzymali się dokładnie pode mną. Drzwi samochodu otworzyły się z trzaskiem. Wysiadło dwóch facetów.

- Widzisz go? - zapytał pierwszy.

- Nie. Pewnie już zwiął.

- Jesteś pewien, że to on?

- Sto procent. Mały bandzior.

Wtedy stało się najgorsze, co tylko mogło się stać. Nade mną zapaliło się światło. Promień ześlizgnął się powoli. Stałem, uwięziony w jasnym kwadracie. Otworzyły się jakieś drzwi i ktoś wychylił się z balkonu.

- Co się dzieje? - zapytał ostro. Znałem ten głos bardzo dobrze.

Zerknąłem w górę. Palis wyszedł na balkon w szlafroku narzuconym na niebieską pidżamę. Patrzył w dół, w stronę policjantów. Musiał mnie zobaczyć. Serce podeszło mi do gardła. Jedno jego słowo i będzie po mnie. W desperacji położyłem palec na ustach i popatrzyłem na niego błagalnie.

- Szukamy kogoś - powiedział jeden z policjantów. - Pewnego chłopca.

- Czy musicie robić takie zamieszanie? - zapytał Palis, a ja odetchnąłem. Na razie nic mi nie groziło.

- On jest niebezpieczny, proszę pana - dodał policjant.

- Ja także, kiedy się mnie budzi w środku nocy - warknął Palis. - Najwyraźniej go tu nie ma, więc proponuję, żebyście poszukali gdzie indziej. I obudzili kogoś innego.

Policjanci odbyli krótką, stłumioną rozmowę, ale wóz wkrótce odjechał, a dwaj pozostali ruszyli na piechotę w stronę King's Road. Palis patrzył na mnie zdumiony.

- Nicholas Simple? - rzucił z niedowierzaniem.

- Tak, proszę pana - wstałem. - Bardzo dziękuję, panie Palis.

- Lepiej wejdź na górę, zanim ktoś cię tu zobaczy. Wspiąłem się na jego balkon.

- Dziękuję, że mnie pan nie wydał...

- No cóż, miałem swoje powody... - Uśmiechnął się.

- Jestem niewinny - wybuchnąłem. - Nie zrobiłem nic złego. Od początku pracowałem dla policji. Właściwie ciągle to robię. Tylko... trudno mi wytłumaczyć...

- Wejdź do środka - powiedział.

Znalazłem się w wygodnym, dyskretnie oświetlonym pokoju. Na ścianach wisiły kopie Rubensa i Picassa, a moje stopy niemal ginęły w grubym, miękkim dywanie. Sądziłem, że natknę się na coś związanego ze szkołą - francuskie książki, prace domowe czy coś w tym stylu - ale nic takiego tam nie było. Może Palis pracował w innym pokoju.

- Usiądź - powiedział. - Zrobię ci herbaty.

- Dziękuję, panie Palis. - Usiadłem przy stole. -1 naprawdę jestem wdzięczny, że nie zdradził mnie pan przed policją. Dlaczego pan tego nie zrobił? - Przypomniało mi się, co powiedział na tarasie. - Podobno miał pan powód...

- *Exactement* - potwierdził. - Nigdy nie wierzyłem, że to ty dokonałeś kradzieży w Woburn. Jesteś słaby z francuskiego. Często nie uważasz na lekcjach. I w ogóle niezłe z ciebie ziółko. Ale mimo wszelkich dowodów nie wydało mi się prawdopodobne, żebyś zdobył się na tak nikczemny postępek. Powiedz mi zatem, co się właściwie stało - ciągnął. - Mówiłeś, że pracujesz dla policji.

- Tak, proszę pana - odparłem. - Właśnie dlatego do pana przyszedłem. Pamięta pan ten dzień, kiedy wyglądałem się na dyktandzie i kazał mi pan wypisać wszystkie formy czasownika *rire*? - Tak. - Zmarszczył brwi. - Nie przypominam sobie, żebyś mi je dostarczył.

- Zrobię to dzisiaj, proszę pana.

- Nie, nie, mogą zaczekać. Mów dalej...

- Wtedy właśnie przyszli. Zastanawiałem się, czy pan ich przypadkiem nie zauważył. To było wtorkowe popołudnie. Dwóch policjantów... Snape i Boyle. Wielcy i brzydcy.

Potrząsnął głową.

- Tego dnia wyszedłem wcześniej - powiedział. - Musiałem iść do biblioteki z *Dzwonnikiem z Notre Dame*.

- To może on ich widział.

- Mam na myśli książkę.

- Aha.

Więc wszystko stracone. Palis nikogo nie zauważył. Ale skoro już zacząłem, musiałem dokończyć. Opowiedziałem wszystko, co wydarzyło się od tego dnia. Nie przerywał. Nie wiedziałem, czy mi wierzy. Kiedy skończyłem, moja herbata wystygła już kompletnie. Nawet jej nie spróbowałem.

- Ta Penelopa... - mamrotał. -1 ty miałeś ją znaleźć?

- Tak.

- Więc jeśli ci się uda, będzie to koniec twoich problemów.

- O ile mi ktoś uwierzy - powiedziałem ponuro.

- Ja ci wierzę - oświadczył, wyprostowując się. - Nie wiem dlaczego. To jest *un vrai conte*.

- Wredny kąt? - przetłumaczyłem.

- Nie. Niezwykła historia. Ale naprawdę ci wierzę. Pytanie tylko: jak mogę ci pomóc?

Nie znalazłem odpowiedzi. Jeśli Palis nie widział Snape'a cała wizyta u niego była tylko stratą czasu.

- Pójdę już - westchnąłem.

- Rano - rzekł, podnosząc się. - Teraz przyda ci się gorąca kąpiel i przyzwoite łóżko. Mam pokój gościnny. Jutro odwiozę cię do Wapping. Zdaje się, że im szybciej dołączysz do brata i tego... Powersa, tym lepiej.

- Chyba już jest za późno.

- A masz jakiś wybór, *mon ami*?

Resztę nocy spędziłem w pokoju gościnnym wielkości kredensu. Poczuliem się jak w celi, z tym że tu drzwi nie były zamknięte. Zasnąłem, ściskając poduszkę. Śniłem. Śniłem o Timie w tym jego gangsterskim przebraniu. Śniłem o Johnnym Powersie, lwie i ekspresie Intercity. Wydawało mi się, że słyszę dzwonek i czyjś niski głos. To był głos sędziego. Wydawał na mnie wyrok. Siedziałem na krześle elektrycznym, a przy dźwigni stała Mamuśka Powers. Zobaczyłem, jak unosi dłoń... Wtedy zabłysło światło i otworzyłem oczy.

Za oknem świeciło oślepiające słońce. Obudziłem się. Przez sen rozdarłem poduszkę na pół.

Przedśionek piekła

Myliliem się co do Peregrina Palisa. No dobra, miał głupie nazwisko. Był niski i gruby, a co gorsza uczył francuskiego. Cóż, nikt nie jest doskonały. Kiedy odwoził mnie do Wapping następnego dnia, musiałem przyznać, że naprawdę bardzo mi pomógł. Ktokolwiek inny doniósłby na mnie na policję. A on nie tylko mnie odwoził, dokąd chciałem, ale jeszcze po drodze kupił mi nową kurtkę i koszulę. Powiedział, że oddam mu pieniądze, kiedy uda mi się oczyścić z zarzutów.

W niedzielę Wapping było jeszcze bardziej wyludnione niż zwykle. Deszcz też nie dodał mu uroku. Z braku rynsztoków woda płynęła środkiem ulicy, tworząc olbrzymie kałuże, w których - jak w brudnym lustrze - odbijało się brudne niebo.

Pan Palis zatrzymał się przy stacji metra.

- Dziękuję, panie Palis - zacząłem.

- Powodzenia - powiedział. Strasznie mu się spieszyło z powrotem. - Mam nadzieję, że wszystko się uda. Daj znać, gdybyś potrzebował pomocy.

- Dobrze, proszę pana.

Ruszył, rozpryskując jedną z kałuż prosto na moje nowe ubranie. Odetchnąłem głęboko. Wokół nikogo nie było. Teraz musiałem tylko przekonać Johnny'ego Powersa, że wciąż jestem po jego stronie.

Najbardziej martwił mnie Tim. Siedział sam na sam z Powersem prawie dwadzieścia cztery godziny. Nawet gdyby to były dwadzieścia cztery minuty, też bym się miał o co martwić. Na pewno zadali mu sporo pytań. Jeśli nie odpowiedział właściwie, to tak jakby zarezerwował sobie miejsce na najbliższym cmentarzu. Pan Palis się nie pomylił - nie miałem wyboru. Gdybym nie wrócił, Tim zostałby bez szans.

Szedłem wzdłuż Wapping High Street aż do zakrętu, gdzie stała - czy raczej waliła się - kryjówka Powersa. Wydawało się, że wszystko w porządku. Ale w uchu słyszałem cichutkie brzęczenie. Nazwijmy to dzwoneczkiem alarmowym - Coś mi nie grało, chociaż nie wiedziałem co. Może było zbyt cicho. Może zaniepokoiło mnie coś innego. Coś, co zobaczyłem albo usłyszałem.

Zatrzymałem się przed drzwiami Powersa, podniosłem palec, żeby zadzwonić, po czym zastanowiłem się nad tym gruntownie. Johnny nie spodziewał się gości. Nie zdziwiłbym się, gdyby wystrzelił tuzin pocisków jeszcze przed otwarciem drzwi. Wróciłem do okna i zajrzałem do mieszkania. Zasunęli zasłony. Czyżby jeszcze spali?

Ponownie sięgnąłem do dzwonka. Wtedy to spostrzegłem.

Ocalił mnie kolor. W Wapping dominowała szarość, z pewnymi odcieniami brązu i czerni. Oko nie spodziewało się już jakiegokolwiek żywszego koloru. A to, co dojrzałem na progu, było jaskrawożółte. Centymetrowy strzępek plastiku. Schyliłem się i wziąłem skrawek do ręki. Wystawały z niego miedziane włókna. Co robił ten kawałek kabla na progu Powersa?

Spojrzałem znowu na dzwonek i nagle przestał mi się podobać. Jeszcze wczoraj żadnego dzwonka tu nie było. Zainstalowali go specjalnie dla mnie.

W tym momencie chciałem obrócić się na pięcie i wrócić na stację. Wsiadłbym gdzieś na końcu trasy i poczekał spokojnie, aż będzie po wszystkim. Ale w tym domu mógł być Tim. Podjąłem decyzję.

Wszedłem tą samą drogą, którą wcześniej uciekłem - od tyłu, po stercie drewna i przez okno w sypialni. Z tym że teraz było pod górkę. Kiedy wspiąłem się na parapet, okazało się, że okno jest zamknięte. Wybiłem łokciem szybę. Gdyby Johnny i Mamuśka spali, z pewnością bym ich obudził. Ale jakoś nie sądziłem, że zastanę ich w domu.

Mały żółty drucik.

Biegając przez sypialnię, zauważyłem, że tej nocy ktoś spał w łóżku Tima. Nic poza pościelą nie wydawało się naruszone. Wypadłem na korytarz. Nie widziałem śladu żywej

duszy. Dopiero schodząc po schodach, usłyszałem stłumiony krzyk. Błyskawicznie znalazłem się na dole. Nagle stanąłem jak skamieniały. Zanim odważyłem się poruszyć, minęły chyba dwie minuty.

Tim siedział na krześle. Był związany i zakneblowany. Miał na sobie pidżamę, ale chyba dla żartu ktoś włożył mu na głowę gangsterski kapelusz. Mój brat patrzył na jakiś przedmiot stojący na stole. To był budzik z Myszką Miki. Białe rękawiczki Myszki wskazywały dziesiątą pięćdziesiąt trzy. Nie wydawało mi się, żeby Walt Disney miał coś wspólnego z resztą. Ktoś przyczepił do zegarka sześć lasek dynamitu. Żółty kabel prowadził aż do drzwi.

Bomba zegarowa. Nastawiona na jedenastą. Gdybym zadzwonił, wybuchłaby nawet wcześniej, przenosząc do wieczności Tima, mnie i Myszkę Miki.

Poruszyłem się z trudem. Tim zobaczył mnie kątem oka i teraz miotał się na krześle, charcząc. Zdjąłem mu knebel.

- Cześć, Tim.

- Nick! - darł się. - Wydostań mnie z tego! Pomocy! Zrób coś! Wezwij policję! Saperów! Gdzieś ty był? Jak mogłeś mi to zrobić?

Przez chwilę chciałem go z powrotem zakneblować. Musiałem działać szybko, a jego wrzaski mi w tym nie pomagały. Nie miałem czasu go odwiązywać. Powers użył solidnego drutu, chyba nie dałbym rady go przeciąć. Zegar wskazywał za sześć jedenastą. W sześć minut mogłem najwyżej rozwiązać Timowi nogi, ale mój brat nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie dokądkolwiek uciec.

- To wszystko twoja wina - ciągnął. - Niepotrzebnie ci pomagałem. To nie fair. Co ja komu zrobiłem? Dlaczego nie posłuchałem mamy...

Obejrzałem dokładnie bombę. Mechanizm okazał się bardziej skomplikowany, niż myślałem. Oprócz żółtego kabla zobaczyłem jeszcze dwa zwoje - czerwony i niebieski - łączące zegar z dynamitem poprzez małe plastikowe pudełko, trzymające się na jednej śrubce. Do pudełka przymocowany był szklany cylinder, coś w rodzaju zaworu. Całość owinięto dwoma paskami taśmy klejącej.

- Co robisz? - zakwilił Tim.

- Rozbrajam bombę - odparłem.

- Niby jak? - jęczał mój brat.

- Jeszcze nie mam pomysłu. Ucichł.

Trzęsącą się ręką dotknąłem dynamitu. Bomba nie wybuchła. Za pięć jedenasta. Usiłowałem sobie przypomnieć, co wiem na temat rozbrajania bomb. Niestety nie uczyli mnie

tego w szkole. Ale przecież oglądałem filmy i czytałem książki. Wiedziałem, co się stanie. O jedenastej zadzwoni budzik, spowoduje spięcie, które uaktywni detonator - umieszczony zapewne w szklanym zaworze. I to będzie ostatni widok w moim życiu.

Gdybym zadzwonił do drzwi, wywołałbym ten sam efekt, tylko nieco wcześniej. Co jeszcze powodowało wybuch? Może bomba miała jakiś czujnik, ale przecież już jej dotykałem i jakoś nic nie wyczuła. Mogłem przeciąć kable, ale nie wiedziałem które i wolałem nie ryzykować. Mogłem przestawić zegarek. To wydawało się najprostsze. Tak proste, że prawdopodobnie także zabójcze.

Mój wzrok przyciągało małe pudełko zjedna śrubką. To musiało być to. Jeśli przerwę obwód elektryczny, wszystko siądzie. Nóż zostawiłem w World's End. Potrzebowałem śrubokrętu albo czegoś z płaskim ostrzem. Wstałem.

- Dokąd idziesz? - zapytał z pretensją Tim.

- Do kuchni.

- Do kuchni? - Obrócił się gwałtownie. - Nick! To nie pora na herbatkę!

Zignorowałem go. Minutę później wróciłem z nożem do warzyw. Przynajmniej miał płaskie ostrze. Kolejna minuta - zostały już tylko cztery.

Ręka nadal mi drżała. Odczekałem kilka sekund. Musiałem odzyskać panowanie nad sobą.

Za trzy jedenasta.

Ukląłem i próbowałem wsadzić czubek noża w szparę w wieczku czarnego pudełka. Ześlizgnął się, ostrze przejechało po kablach. Moje serce wykonało podwójne salto w tył, po czym schowało się w żołądku. Czułem, jak pot ścieka mi po twarzy. Maksymalnie skoncentrowany, przesunąłem nóż we właściwe miejsce. Zaczepiłem o śrubkę. Przekręciłem.

Nawet nie drgnęła. Spróbowałem mocniej i tym razem poczułem, że ruszyła. Ale czy na pewno urządzenie nie miało jakiegoś zabezpieczenia? Czy wyjęcie śrubki wystarczyłoby, żeby je wyłączyć? Nie miałem już czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wykonałem trzy kolejne obroty. Śrubka wysunęła się z gwinta, po czym spadła na stół z cichutkim brzękiem. Tim pisnął.

Odłożyłem nóż i chwyciłem palcami pokrywkę. Moja ręka jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak duża i niezgrabna. Nie wiedziałem, która godzina. Nie śmiałem spojrzeć na zegar. Próbowałem delikatnie wymacać sprężynkę mocującą pokrywkę pudełka. Niczego takiego nie znalazłem. Upuściłem pokrywkę i otarłem pot z oczu. Świetnie mi idzie, pomyślałem.

W środku zobaczyłem kabel i zwykły przełącznik z trzema pozycjami. Był na środku, mogłem go popchnąć w dowolną stronę. Ale w którą? Saper myli się tylko raz. Zerknąłem na budzik. Została mi mniej niż minuta.

- W prawo czy w lewo, Tim? - zawołałem.

- Co w prawo czy w lewo? - zapytał.

- Po prostu powiedz.

- W lewo.

- Na pewno nie w prawo?

- Nie.

- Nie?

- To znaczy - nie w prawo. W lewo będzie na pewno dobrze.

Przestawiłem przełącznik w prawo. Zadzwoił budzik. Tim wrzasnął, ale zegarek po prostu cykał sobie dalej. Myszka Miki uśmiechała się do mnie uroczo. Czułem się jak przekłuty balon. Ale udało się - zrobiłem to.

Rozwiązywanie Tima zajęło mi pół godziny. Nawet potem ręce ciągle mi drżały. W końcu brat wstał, popatrzył na bombę i poszedł na górę się przebrać.

Opadłem na krzesło. Udało się. Ciągle w to nie wierzyłem. Słyszałem, jak Tim miota się po sypialni na górze. Westchnąłem. Mógł chociaż podziękować.

Penelopa

Mamuśka Powers zostawiła w kuchni odrobinę jedzenia, więc Tim zrobił lunch. Spalił grzanki, a jajecznica była chyba na gipsie, nie na maśle, ale umierałem z głodu, więc zjadłbym wszystko. Najwyraźniej niebezpieczeństwo pobudza apetyt. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przeżyłem dwa kryzysy. Mój żołądek świętował. Zanim się zorientowałem, wypłem trzy filiżanki kawy i wsunąłem pół paczki pysznych herbatników. Jeszcze trochę w tym interesie, a się roztyję. Albo zginę.

Opowiedziałem Timowi o moim spotkaniu z Dużym Edem i nocy z panem Palisem. Pomyśleliśmy nawet, czy do niego nie zajrzeć, ale nie bardzo wiedziałem po co.

- Czyli kto to właściwie był? - zapytał Tim.

- Kto?

- Ten człowiek, który odwiązał cię od torów.

- Nie mam pojęcia - odparłem, wzruszając ramionami. - wydawał mi się znajomy, ale przez ten deszcz nie widziałem go dobrze.

Przypomniałem sobie minioną noc.

- Nawet nie wiem, jak mnie znalazł. A może znalazła. To zupełnie bezludzie. Nikt by mnie tam nie szukał. Naprawdę nie rozumiem.

Historia Tima okazała się mniej zagadkowa. Właściwie nawet nie musiałem go o nic pytać.

Ja zniknąłem, Tim sam na sam z Johnnym... Miał szczęście, że przeżył ponad dziesięć minut.

Wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak sobie wyobrażałem. Po powrocie Johnny nie zastał mnie w domu. Wypytał Tima i jego odpowiedzi mu się nie spodobały. Ziarno podejrzeń kielkuje szybko, a tym razem padło na niezwykle żyzną glebę. Nie zaprosili Tima na popołudniowe spotkanie. Atmosfera przy kolacji była tak zimna, jak paluszki rybne zaserwowane przez Pazura. Tim poszedł wcześniej spać. Wyciągnęli go z łóżka o świcie. Johnny nie zamierzał ryzykować. Tim został związany, zakneblowany... resztę znałem.

- Mówił coś? - spytałem.

- Nic miłego - wymamrotał Tim.

- Nie wątpię - westchnąłem. - Pytam, czy powiedział coś, co naprowadziłoby nas na jego ślad.

Tim pomyślał chwilę.

- Przed wyjściem trochę sobie żartowali - odparł. - Ten cały Natan Lazur zmontował bombę i powiedział, że obaj wylecimy wysoko w powietrze. Wtedy Powers powiedział, że to się świetnie składa, bo zanim wrócisz, oni zdążą już zapaść się pod ziemię.

- Pod ziemię? Mówił coś jeszcze?

- Tak. Kiedy wkładał mi kapelusz, powiedział, że wybierają się do klubu. Ale miał nadzieję, że usłyszą wybuch.

Więc czegoś się jednak dowiedziałem. Jeśli Powers chciał usłyszeć eksplozję, to znaczy, że był gdzieś w pobliżu. Mieli zapaść się pod ziemię - pewnie mówił w przenośni, chociaż niekoniecznie. Ale tego o klubie zupełnie nie rozumiałem. W Wapping nie widziałem jeszcze nic podobnego. A już na pewno nigdy w życiu nie widziałem klubu, do którego mógłby pójść Johnny Powers.

Nic nie mówiłem, ale Tim najwyraźniej czytał w moich myślach, bo nagle wyprostował się na krześle.

- Chyba nie będziesz go szukał? - jęknął.

- A mamy inny wybór?

- Może pójdziemy do domu i zapomnimy o wszystkim?

- Policja ciągle nas szuka - przypomniałem mu.

- Ciebie.

- Nas. Pomogłeś mi w ucieczce, nie pamiętasz? Wyszliśmy razem. Tim włożył normalne ubranie, a ja nadal nosiłem ciuchy od pana Palisa. Nawet gdyby ktokolwiek pojawił się na pustych uliczkach Wapping, nie zwróciłby na nas większej uwagi. Znalazłem plecak w szafie i wziąłem go, żeby wyglądać jeszcze zwyczajniej.

To znaczy, tak powiedziałem Umówi. Rozbroiłem bombę, przełączając pstryczek wprawo, ale to nie znaczyło jeszcze, że ją trwale unieszkodliwiłem. Wziąłem ją ze sobą, tak na wszelki wypadek.

Przez resztę dnia krążyliśmy po okolicy. Słońce już zachodziło, kiedy zorientowałem się, że w ten sposób nic nie osiągniemy. Powers mógł się schować w tysiącu możliwych miejsc... w pustych apartamentach, na placach budowy, w ruinach domów.

- Gdyby tylko Snape żył... - wymamrotałem. Zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech. Siedzieliśmy na niskim murku biegnącym wzdłuż Wapping High Street. Więzienne buty nadal mnie obcierały, a poza tym miałem dość spacerków jak na jeden dzień.

- Myślałem, że go nie lubiłeś - powiedział Tim.

- Nie lubiłem. Ale teraz tylko do niego moglibyśmy pójść. On by nam pomógł.

Nie odzywaliśmy się przez chwilę. Tim zmarszczył brwi.

- Jesteś pewien, że tu nie ma żadnych klubów?

- Klubów?

- Tak powiedział Powers. Ze idzie do klubu.

- Widziałeś tu jakiś klub?

- Nie, ale może to nazwa jakiejś kryjówki tej jego bandy.

Nagle mnie olśniło. Poczulem się tak głupi, że chciałem dać sobie pięścią w łeb. Siedzieliśmy pół minuty drogi od starego londyńskiego klubu, a ja nawet o tym nie pomyślałem. Wstałem i zarzuciłem plecak na ramię, zapominając na chwilę, co jest w środku. To byłoby bardzo w moim stylu - wylecieć w powietrze o krok od celu.

- Dokąd idziemy? - zapytał Tim.

- Do klubu - odparłem.

Szliśmy po własnych śladach, między dwa magazyny i potem na molo. Na końcu zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Tak jak pamiętałem, miałem stąd dobry widok na przystań i kraniec Wapping. Tim dogonił mnie, stanął, po czym podrapał się w głowę.

- Co robisz? - rzucił.

- Klub, Tim - powiedziałem. I pokazałem mu palcem. Stary jacht-klub. - To o tym mówił Powers. Musi gdzieś tutaj być. Może właśnie na niego patrzymy.

Ale na co właściwie patrzyliśmy? Po pierwsze - na magazyny, Błazna króla Henryka po jednej i Świętego Jana po drugiej stronie. Żurawie przycupnęły wzdłuż ich ścian jak jakieś ogromne koniki polne karmiące się ceglami. Dalej stały nowe domy i kolejne mola, wokół których pluskała szara rzeka. Na wodzie zobaczyłem przycumowaną barcę. Coś mi w niej nie pasowało. Już za pierwszym razem pomyślałem, że ta łódź wygląda podejrzanie, ale w tej chwili nie pamiętałem już dlaczego. Przyjrzałem się jej dokładnie. Nadal coś mi nie grało.

W świetle zachodzącego słońca niewiele widziałem, ale udało mi się odcyfrować jedno słowo namalowane na burcie. Zauważyłbym je już wcześniej, gdybym go szukał. Jak każda barka, ta też miała swoją nazwę. „Penelopa”.

- To jest to! - zawołałem. - Penelopa! Tim także ją zobaczył.

- Czyli kiedy Powers powiedział, że odwiedzi Penelope... - zaczął.

- Miał na myśli łódź. To na pewno tutaj spotkał się z Parkanem.

- Mówiłeś, że poszedł na stację.

- Bo poszedł. Myślałem chwilę.

- Pewnie się zorientował, że ktoś za nim idzie. Więc postanowił mnie zgubić.

- No to co robimy? - zapytał Tim.

- Teraz? Obejrzyjmy sobie tę łódkę z bliska. Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Drogę na keję blokowała wysoka brama z drutem kolczastym. Nie mogliśmy przejść górą. Pozostawało tylko jedno wyjście. Na szczęście dzień był dosyć ciepły.

- Chyba żartujesz! - wykrzyknął Tim, kiedy mu powiedziałem o moim pomysle.

- Nie musisz ze mną iść - mamrotałem, odpinając koszulę.

- Na pewno jest inna droga...

- Na przykład?

Tim pomyślał chwilę, po czym odpiął pasek.

- Idziesz ze mną? - zapytałem.

- Ktoś musi się tobą opiekować - odparł.

Zostawiliśmy ubrania i plecak na końcu mola i w samych spodenkach weszliśmy do rzeki. To był naprawdę ciepły dzień, szkoda, że Tamiza tego nie zauważyła. Kiedy stanąłem po kolana w wodzie, nie czułem już stóp.

Silny prąd poruszał się w przeciwnym kierunku niż my. Tim płynął za mną pieskiem - nie obrażając psów. W tej wodzie o temperaturze zera stopni pływało w dodatku całe mnóstwo świństw. Na wysokości mojego nosa unosiły się różne paskudztwa. Staralem się

przyspieszyć, ale na każde trzy ruchy, prąd znosił mnie z powrotem o dwa. Na szczęście do łodzi nie mieliśmy daleko, ale i tak minęło dobre pięć minut, zanim ciężko wygramoliłem się z wody.

To też nie było łatwe. Pokład „Penelopy” znajdował się wysoko nad powierzchnią, a w dodatku łódź nic chciała się przechylić. Pomógł mi Tim. Podparł mnie od spodu, oczywiście w tej samej chwili znikając pod wodą. W następnej sekundzie leżałem już na pokładzie, wyciągając do niego ręce, a on kaszłał i parsknął. Koło ucha płątała mu się martwa ryba. W końcu jakoś go wciągnąłem.

Sam nie wiem, co właściwie spodziewałem się znaleźć. Na pewno nie zamierzałem złapać Johnny’ego Powersa. Mogłem złapać najwyżej zapalenie płuc. Teraz, kiedy wreszcie dotarliśmy do celu, wydawało się, że to wszystko na nic.

Łódź była pusta. Wnętrze składało się z jednej dużej kabiny przypominającej drewniane pudełko i korytarzyka prowadzącego na pokład. Tam pewnie znajdowały się kiedyś silnik i ster. „Penelopa” wyglądała na zdezelowany wrak. Pokoik o wymiarach autokaru, unoszący się smętnie po brzegu Tamizy.

Tim trząsał się w kącie. Ryba zwisająca mu wzdłuż twarzy wytrzeszczyła na niego oczy.

- Dlaczego ja cię posłuchałem? - jękał się, szczękając zębami w rytmie flamenco.

- Zaraz - uciąłem.

To nic było specjalnie wiele warte. A już na pewno nie opłacało się po to płynąć. Ale schyliłem się i podniosłem czarno-białą kulkę papieru.

- Co to jest? - zapytał Tim.

- Czarno-biała kulka papieru - odparłem. Rozprostowałem paperek i przeczytałem: „Lukrecja”. Taka jak ta, którą żuł Johnny Powers.

- Był tu - powiedziałem.

- No cóż, teraz go tu nie ma.

- Ale może wrócić.

- Nick...

- No dobra - powiedziałem. - Idziemy stąd. Wyszliśmy na pokład. Nadal czułem, że coś jest nie w porządku. „Penelopa” zachowywała się dziwnie jak na łódź. Nie wiedziałem, na czym to polega, ale czułem, że coś tu śmierdzi. I to nie tylko ryba za uchem Tima.

Północ w Wapping. Tim i ja przycupnęliśmy w zbudowanym do połowy domu dokładnie naprzeciwko bramy prowadzącej na keję. Siedzieliśmy tam dobre sześć godzin,

których jednak do dobrych bym nie zaliczył. Nie wytarliśmy się przed włożeniem ciuchów, więc nasze ubrania przesiąkły wilgocią i lepiły się do skóry. Byliśmy zmarznięci i wykończeni. Od godziny nikt nic pokazał się w pobliżu, a przedtem tylko jakaś wracająca do domu taksówka. Tej nocy ani księżyc, ani gwiazdy nie pofatygowały się na niebo. Jedyne światło pochodziło z odległej latarni. Przymglony blask odbijał się w szybach pustej „Penelopy”.

Co robiliśmy na bezludnej kei nad bezludną rzeką w bezludnej części miasta? Sam dobrze nie wiedziałem. Coś mi mówiło, że na tej kei leży klucz do całej sprawy. Za wszelką cenę chciałem się jej trzymać. Powers na pewno tu był i mógł jeszcze wrócić. Razem z Parkanem.

- Nick...? - zapytał marudnie Tim.

Myślałem już, że zasnął. Właśnie chciałem odpowiedzieć, kiedy to się stało. Zdarzyło się tak niespodziewanie, że podejrzywałem siebie o omamy. Ale Tim też to widział. Złapał mnie za rękę.

W pustej łodzi zabłysło światło.

W chwilę później na pokładzie pojawił się jakiś człowiek. Zszedł na nabrzeże i skierował się w naszą stronę, w stronę bramy.

- Skąd on się wziął? - szepnąłem.

- Pewnie przyplłynął - odparł Tim.

- Nie jest nawet mokry.

- Może miał łódź?

- Słyszałeś coś?

Tim potrząsnął głową. Tymczasem człowiek dotarł do bramy i właśnie otwierał kłódkę wielkim mosiężnym kluczem. Miał na sobie ciemne spodnie i koszulę. Sprawdził, czy na drodze nikogo nie widać, po czym wrócił na łódź.

- To niemożliwe... - syknął Tim.

- Tsss!

Usłyszeliśmy cichy stukot, po czym na żwirze zachrząściły koła ciężarówki. Przez chwilę myślałem, że przejedzie dalej, ale zawróciła i stanęła o metr od bramy. Przypominała wóz przeprowadzkowy. Jej tylna klapa otwierała się jak załuzja. Z ciężarówki wysiedli dwaj mężczyźni i ruszyli w stronę „Penelopy”.

Z pokładu zeszło jeszcze trzech ludzi, każdy niósł sporą pakę czy skrzynię. Wyglądało na to, że spędzili w tej łodzi cały wieczór. A przecież widzieliśmy wcześniej z Timem, że była pusta. Nie spuszczałem z niej oka. Więc skąd wzięli się na kei razem z tymi skrzyniami?

To był dopiero początek. Każdy z pięciu mężczyzn chodził na „Penelopę” co najmniej pięciokrotnie i za każdym razem przynosił coś nowego. Najpierw zjawily się kolejne skrzynie. Potem sterta płaszczy, wieża stereo, następny tuzin skrzyń i na końcu dwa olbrzymie obrazy, większe od kabiny „Penelopy”.

Rzeczy z pustej łódki wypełniły już całą ciężarówkę. Dwaj mężczyźni wsiedli do środka i odjechali. Przed bramą natychmiast pojawiła się następna. Tym razem z łódki wyniesiono trzy antyczne stoliki, sześć skrzyń, dwa zwinięte dywany, cztery posągi naturalnej wielkości i na koniec fortepian. Instrument musiał poczekać na trzecią ciężarówkę. Nie zdziwiłbym się, gdyby za nim wyszła wielka orkiestra symfoniczna.

- To niemożliwe - wymamrotał Tim po raz drugi. Musiałem mu przyznać rację. To było niemożliwe. Na pewno widzieliście kiedyś tę magiczną sztuczkę, kiedy pokazują wam pusty cylinder, a potem wyciągają z niego królika. Wyobraźcie to sobie ze słoniem w roli głównej, a zrozumiecie mniej więcej, o co mi chodzi.

Cała ta operacja trwała godzinę. Potem trzecia ciężarówka odjechała, człowiek w ciemnym ubraniu zamknął bramę, wrócił na łódkę i zgasił światło. Wszystko wyglądało tak jak przedtem.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeliśmy. Tim pierwszy zburzył ciszę.

- Nick - powiedział. - Myślisz, że mogliśmy to przeoczyć, kiedy przeszukiwaliśmy łódkę?

- Przeoczyć? - prawie wrzeszczałem. - Przecież wiesz, że łódka była pusta. Musielibyśmy być ślepi, żeby tego wszystkiego nie zauważyć. No i gdzie to niby leżało? Pod papierkiem od lukrecji?

Zamknąłem oczy. Staralem się pomyśleć trzeźwo. „Penelopa”... Od początku coś mi w niej nie pasowało. I wreszcie mnie oświeciło. Nie kołysała się. Zauważyłem to tego ranka, kiedy przybyliśmy do Wapping. Tamiza pluskała i falowała, a barka stała nieporuszona.

Pomyślałem o Powersie. Śledziłem go, kiedy „odwiedzał Penelopę”. Wiedziałem już, co to znaczyło. Ale nie skierował się na keję. Więc może...

- Idziemy - powiedziałem.

- Dokąd?

- A jak myślisz? - uśmiechnąłem się do Tima. - Na stację metra Wapping.

Pod ziemią

Metro zamknięto już na noc, ale ten jeden raz szczęście nam sprzyjało. Najwyraźniej jeszcze sprząтали, skoro drzwi były otwarte, a światło zapalone. Nie bali się złodziei, bo i co tu kraść. Automat z biletami?

I tak staraliśmy się poruszać jak najciszej - na wypadek gdyby ktoś tam się kręcił. W ostatniej chwili powstrzymałem Tima od zakupu biletu, po czym skierowaliśmy się na schody. Zeszliśmy na dobrze mi znany peron, na którym wtedy zgubiłem Powersa. Na stacji panowała grobowa cisza. Ceglany łuk także mógłby pochodzić z grobowca. Brakowało tylko paru trumien.

Dotarliśmy do końca peronu i zajrzeliśmy w głęboką noc tunelu. Pociągi miały nie kursować przez pięć godzin. Uznałem, że w związku z tym wyłączą również prąd na szynach. Gdybym się mylił, czekał mnie bardzo niemiły szok, w niejednym tego słowa znaczeniu. Rozumowałem na pewno dobrze. Tunel przebiegał pod Tamizą. Gdzieś była odnoga prowadząca do... Właściwie nie wiedziałem, czego się spodziewać na drugim końcu.

- Nick - szepnął Tim. - Chyba już dzisiaj nie będzie metra.

- Tim! - Myślałem, że już mu to wytłumaczyłem. - Nie jedziemy metrem.

- No cóż, jeśli liczysz na autobus...

- Idziemy pieszo!

- Tam? - Tim gapił się na mnie z szeroko otwartymi ustami.

- Nie będzie tak trudno.

Właśnie w tym momencie zgasły światła. Ciemność uderzyła nas po oczach. Ktoś jednak musiał być na stacji, bo w chwilę później usłyszałem szcęk zasuwanej żelaznej bramy. Potem zapadła cisza. Żadnego dźwięku. Żadnego światła. Uszczypnąłem się, żeby sprawdzić, czyjeszcze żyję.

- Nie będzie tak trudno? - Głos Tima drżał w ciemnościach.

- Zaczekaj tu chwilę...

Na szczęście wiedziałem, gdzie stoję. Gdybym zrobił trzy kroki, mógłbym stoczyć się z krawędzi peronu. Znalazłem ścianę. Wolno zsunąłem się do tunelu. Pamiętałem trzy schodki prowadzące w dół. Trzymając się ręką ściany, wymacałem pierwszy stopą i zacząłem się wolno obsuwać. Uderzyłem ramieniem w gaśnicę. Wydała z siebie głuchy brzęk.

- Kto tam? - zaskrzeczał Tim.

Zignorowałem go. Jakimś cudem znalazłem przesuwane drzwi. Otworzyłem je z westchnieniem ulgi. Macałem ścianę w poszukiwaniu włącznika. Wreszcie zahaczyłem o niego kciukiem. Zapaliły się światła.

Tim zszedł do mnie i zdziwiony oglądał schowek. Nie zauważyłem, żeby coś się tam zmieniło. Telefon, kurz, śmieci i kran.

- Nic tu nie ma - powiedziałem. - Zmywajmy się stąd, zanim stanie się coś strasznego.

- Zaczekaj - rzucił Tim, odpychając mnie.

- O co chodzi?

- Chce mi się pić.

I wtedy zdarzyło się coś, co zupełnie mnie powaliło. Zresztą nic dziwnego - Tim tak się spieszył, że omal nie powalił mnie na ziemię.

Zbliżył się do kranu. Odkręcił, ale woda nie poleciała. Wymamrotał coś, a potem walnął ręką w kurek. Kran jakby zapadł się w ścianę. Zabrzmiał głośny szczęk. W sekundę później przesunął się cały kawał ściany, odsłaniając obszarpane wejście i schody prowadzące na dół. Oczy otworzyły mi się szeroko.

- Tim! - wykrzyknąłem. - Znalazłeś!

- No jasne. Znalazłem. - Uniósł brwi. - Ale właściwie co to takiego?

- Odpowiedź. Właśnie tu zniknął Johnny Powers, jak go śledziłem. Nie schował się w tunelu. Zszedł tutaj.

Tim popatrzył na schody.

- Sekretne przejście...

- A tyje otworzyłeś, przekręcając kurek. Jesteś wspaniały!

- Spokojna głowa - wycedził, uśmiechając się. - Obiecałem, że się tobą zaopiekuję.

Na ścianie wisiały trzy latarki. Zdjąłem jedną i zaświeciłem.

- No to chodź - powiedziałem.

- Chyba nie idziemy dalej?

- Oczywiście, że idziemy. Nie chcesz wiedzieć, dokąd to prowadzi?

- Nie!

Weszliśmy. Pod schodami musiał być zamontowany czujnik, bo drzwi natychmiast się za nami zamknęły. Nawet mnie to ucieszyło. Tim zwałby natychmiast, gdyby dano mu chociaż pół szansy. A ja, prawdę mówiąc, sam wziąłbym drugą połówkę i uciekł za nim.

Schodziliśmy prowadzeni blaskiem latarki. W dół i w dół. Schody, wąskie od samej góry, zwężyły się jeszcze ku dołowi. Czułem się trochę jak w tubce pasty do zębów. Im dalej szliśmy, tym bardziej krzywe stawały się ściany. Niemal czułem, jak te mury coraz bardziej na mnie napierają. Zastanawiałem się, kiedy wycisną nas drugim końcem.

Powietrze zwilgotniało. Pachniało rzeką. Przed nami błyszczało dziwne niebieskie światło obramowane kamiennym łukiem. Zgasłem latarkę i kazałem Timowi być cicho. O

pół sekundy za późno. Nagle nastąpił stłumiony wybuch. Pomyślałem, że to moja bomba. Sprawdziłem, czy ramiona wciąż mam przymocowane do rąk. Wtedy zrozumiałem. To był Tim. Kichnął.

- Tim! - syknąłem.

- Pszepraszab - szepnął. - Chyba złapałem kadar.

- Staraj się być cicho.

- Jazne, Nig.

Dotarliśmy na sam dół i przeszliśmy pod łukiem. Schody wyglądały na wykute przez jakiegoś dziewiętnastowiecznego przemytnika. Korytarz natomiast był nowy, wyłożony białymi kafelkami i oświetlony lampami halogenowymi. Na podłogę wylano surowy beton. Właśnie chciałem ruszyć naprzód, kiedy na dalekim końcu otworzyły się drzwi.

- Co się stało, Johnny? - zapytał głos.

- Chyba kogoś słyszałem, Mamuśka - odparł Johnny.

- Co?

- Nie wiem. Ktoś kichnął..

- Wydawało ci się, synku.

- Tak myślisz, Mamuśka?

- Taa, Johnny. Wracaj tu. Musisz dopić czekoladę i dzin.

Drzwi się zamknęły i znowu mogliśmy odetchnąć. Przynajmniej wiedziałem, że są tu Johnny Powers i jego matka. Za tymi drzwiami z pewnością mieli skrawek miejsca do życia. Gdybyśmy przypadkiem tam zaszli, zapewne skończylibyśmy w skrawkach i z całą pewnością bylibyśmy nie do życia.

Drugi korytarz odchodził w prawo. Miał może ze trzydzieści metrów. Przed nami błyszczał niebieski neon rzucający wokół cienie. Cały kompleks wywierał wrażenie dość dziwne. Przypominał coś pomiędzy szpitalem a stacją metra. Oczywiście nie mieli tu okien. Słyszałem w powietrzu słabiutki szum, pewnie jakiegoś systemu wentylacyjnego. Ciekawe jak daleko ciągnęły się te podziemia. Pomyślałem, że to naprawdę niesamowite.

Niesamowite było także to, co zobaczyliśmy na końcu korytarza. Wiedziałem, że był duży, ale to przechodziło wszelkie pojęcie. Przechodziło nawet to, co widywałem w najdzikszych snach, a zdradzę wam w sekrecie, że sny miewałem nieraz naprawdę dzikie.

Skończyły się białe kafelki. Jaka tam stacja. Jaki tam szpital. Patrzyliśmy na jakieś niesłychane muzeum, ogromną komnatę z łukami po każdej stronie i klasycznymi kolumnami podpierającymi rzeźbione, ceglane sklepienie. Grota Aladyna, szalony magazyn. To musiało być to. Tutaj Parkan trzymał swoje łupy.

Wzdłuż ścian zgromadzono obrazy. Niektóre wisiały, niektóre opierały się o ceglany mur. Obok stała grupa antycznych rzeźb, z łuków zwisały żyrandole. Zza kolumn wyglądały orientalne maski i mozaiki. Zwykle drewniane skrzynie mieściły złotą i srebrną biżuterię. Minęliśmy górę sprzętu audio i wideo. Futra, które tam wisiały, pochłonęły chyba całą generację norek, a sztucców wystarczyłoby dla sieci hoteli. Gdybyście okradli wszystkie domy w Londynie, a potem wszystkie sklepy i wszystkie muzea, nie zebralibyście tylu rzeczy, ile tam zobaczyliśmy.

Znaleźliśmy to, o co nam chodziło. Mogliśmy teraz zaoferować policji Parkana, Powersa i łupy z największych kradzieży ostatnich dziesięciu lat. Wystarczyło tylko się stąd wydostać. To wydawało się takie proste.

W moim życiu nic nie jest proste. A kiedy coś idzie podejrzanie łatwo, to najlepszy znak, że kłopoty dopiero się zaczynają.

Tym razem zaczęły się od Tima. Byliśmy w samym środku komnaty, kiedy nagle wciągnął ze świstem powietrze. Pomyślałem, że kichnie, ale on chwycił coś ze stołu i podniósł do światła. Kiedy się obrócił, w rękach trzymał sporą jasnoniebieską wazę z jakimś ptakiem namalowanym z jednej strony.

- Bab ją! - szepnął, omal nie chichocząc. - Nabrawdę ją bab!

- Co?

- Szkarładnego Pafia. Usiłował oczyścić nos.

- Pafia...

- Pawia?

- Pamiętasz! Dybastia Bing...

Rzeczywiście. Waza z dynastii Ming skradziona z British Museum znalazła się w rękach Parkana. I oto leżała tu, czekając na sprzedaż. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Tim uśmiechał się z zachwytem jak dziecko do nowej zabawki. Pierwszy raz w jego karierze naprawdę mu się udało. Niestety nie było czasu na gratulacje.

- Ręce do góry - zażądał ktoś.

Odwróciłem się na pięcie. Natan Pazur. W niebieskim świetle jego trądzikowa cera wyglądała jak powierzchnia księżyca. Ale nie na twarz Pazura patrzyłem. Mój wzrok przyciągnęła jego ręka z wycelowanym we mnie pistoletem.

- Pazur... - wymamrotałem, rozkładając ręce. - Może się dogadamy.

- Może nie, Diament - warknął. - Jesteś już padliną. Miał rację. A Tim nadawałby się na jarzynkę. To wszystko przez niego. Przez to głupie kichnięcie, które Powers usłyszał.

Mamuśka co prawda nic nie słyszała, ale Powers nie zamierzał ryzykować. Wysłał Pazura na zwiady. Tim i ta jego przekłeta waza naprowadziły go na nas.

Rozejrzałem się ukradkiem, szukając jakiegoś zabytkowego pozłacanego pogrzebacza, żeby walnąć nim Pazura. Niestety nie znalazłem. Tak czy owak, daliśmy się złapać. Pazur zastrzeliłby mnie, zanim zdążyłbym mrugnąć. Wystarczyło tylko, że zawoła Johnny'ego i bylibyśmy skończeni.

Wtedy Tim kichnął po raz drugi, tak głośno i niespodziewanie, że Pazur odwrócił się odruchowo. W tej samej chwili skoczyłem na niego.

Jedną ręką złapałem go za gardło. Drugą sięgnąłem po pistolet. I tak szarpaliśmy się przez kilka sekund, jak w jakimś szalonym tangu. Chciał krzyknąć, ale zacisnąłem mu rękę na tchawicy i nie mógł złapać tchu. Spojrzałem na Tima. Ścisnął kurczowo swoją cenną wazę.

- Walnij go, Tim - syknąłem.

Pazur był większy ode mnie i czułem, jak mi się wyślizguje. Jeszcze chwila... Siłował się ze mną, próbując wycelować pistolet w moją stronę. Ostatkiem sił wypchnąłem mu rękę do góry.

- Walnij go! - syknąłem jeszcze raz. - Wazą!

Tim zrobił krok do przodu. Podniósł wazę i trzymał ją nad głową Pazura. Czekałem, aż Paw polecą z trzaskiem w dół. Ale Tim nie wykonał żadnego ruchu. Ręce mu drżały. Twarz wyrażała rozterkę i udrękę.

- Nie bogę - wymamrotał. - Nie bogę, Nig. - Pistolet wypalił.

Pocisk przeleciał tak blisko mojej twarzy, że poczułem ciepło na policzku. Minał mnie o włos i uderzył w lustro na ścianie. Huk eksplozji omal mnie nie ogłuszył. Podziemny magazyn potęgował nawet najmniejszy szelest, a wystrzał i brzęk rozbijanego szkła do najmniejszych nie należały. Ani do szelestów.

Straciłem nadzieję. W głowie huczało mi jeszcze od wystrzału, kiedy usłyszałem pospieszne kroki, niespokojne nawoływania. Pazur wyrwał się i znów wymierzył we mnie pistolet. Nie poruszyłem się. Dołączył do niego z tuzin uzbrojonych facetów.

Przybyli ze wszystkich stron. Nigdy nie widziałem tych ludzi, chyba że to oni kręcili się w nocy przy barce. Wszyscy całkiem ubrani. Może spali w ciuchach. Może nie sypiali nigdy. Pazur potarł szyję. Oczy płonęły mu żądzą mordy, a ja nie musiałem pytać, kogo chce mordować i dlaczego.

- Psszepraszab, Nig - jęknął Tim. - Naprawdę nie bogłęb. Nie Szkarładnym Pafiem.

- Gratulacje, Tim - wymamrotałem. - Może wsypią do niego twoje prochy.

Chyba nie zabrzmiało to zbyt sympatycznie. Ale miałem niezbyt sympatyczny humor. Tim wbił wzrok w wazę i odstawił ją na stół. Krąg mężczyzn rozstał się, kiedy wszedł Johnny ze swoją matką, oboje w szlafrokach. Z głowy Mamuśki Powers sterczały papiloty. Już miałem wybuchnąć śmiechem, ale coś mi powiedziało, że byłby to ostatni dźwięk w moim życiu.

- Przylazłeś tu za mną! - warknął Powers - Ty brudny, śmierdzący dwulicowy szczurze!

- Chyba już mnie nie lubisz - zabełkotałem.

- Owszem, nie lubię. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem. A ty przez cały czas pracowałeś dla glin.

Trząsł się z wściekłości. Twarz mu zbieleła, oczy płonęły szaleństwem.

- Nienawidzę glin - ciągnął. - Gdyby to zależało ode mnie, zabiłbym was obu. Powoli.

- Czemu tego nie zrobisz? - zapytała ostro Mamuśka.

- Bo Parkan chce ich widzieć. Powers zerknął na Pazura.

- Wszystko OK? - zapytał.

- Jasne, Johnny - wychrypiał Pazur. Głos ugrzązł mu gdzieś w niższych rejonach gardła. Odkaszlnął. - Znalazłem ich z tą wazą.

- Wazą? - Powers potrząsnął głową bez zainteresowania. - Mają być związani i zamknięci. Parkan przyjdzie tu jutro. Wtedy z nimi skończymy.

Na znak Pazura ruszyło na nas czterech ludzi. Nawet nie próbowaliśmy walczyć. Zawlekli nas na sam koniec galerii. Przeszliśmy wąskim korytarzykiem obok jakiejś maszyny, wentylatora i tablicy z bezpiecznikami. Po drugiej stronie zobaczyłem żelazny płótek zagrządzający coś jakby podziemny parking. Dotarliśmy do drzwi. Wepchnęli nas do małego pokoju.

Jeden z mężczyzn wyjął kawał sznura. Zawsze myślałem, że Pazur jako podwładny Powersa ma zupełnie związane ręce, ale już po kilku minutach śmiało mogliśmy z nim konkurować. Nasze kostki, kolana, nadgarstki, ręce... gość nie pominął nawet jednego mięśnia. W końcu usadowił nas plecami do ściany. I nie zanosilo się na to, żebyśmy mieli się stamtąd ruszyć.

Kiedy faceci wyszli, zjawił się Powers. Patrzył na nas z perfidnym uśmiechem satysfakcji. Nadal miał brzydkie oczka.

- Johnny... - zacząłem. Chciałem przypomnieć mu czasy Strangeday Hall, jak zostaliśmy przyjaciółmi i jak uratowałem mu życie. Ale to nie przełamałoby lodów. Ten facet miał lód zamiast krwi.

- Oszczędzaj siły, Diament - przerwał mi. - Będziesz ich potrzebował, kiedy przyjdzie tu Parkan.

- Kto to jest? - zapytałem. Nic mi to już nie dawało, ale nadal chciałem wiedzieć.

- Dowiesz się w swoim czasie. - Powers uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Niezły lokal - powiedziałem. Pokiwał głową.

- Siedzisz teraz sto metrów pod Tamizą. Płynie dokładnie nad tobą.

- Parkan to zbudował?

- Nie. Zrobił to jakiś facet, Brunei, sto lat temu. Nikt oprócz Parkana o tym nie wiedział. Były dwa tunele. Ten zbudowali najpierw, ale zaczęły się jakieś problemy. Coś z wapieniem. No więc zaczęli jeszcze raz, trochę wyżej. Parkan znalazł ten stary tunel i zaadaptował go - przerwał i łypnął na mnie. - Ale po co ja tracę czas? Jutro i tak dowiesz się tego od Parkana.

Ukląkł i ścisnął mi twarz żelazną ręką. Czulem, jak jego palce wbijają mi się w policzki.

- Parkan już sobie z tobą poradzi - szepnął. Potem roześmiał się wysokim, wibrującym śmiechem. - Może coś zostanie dla mnie. Pożałujesz, żeś kiedykolwiek o mnie słyszał, Diament. A jak będę z tobą kończył, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Trzasnęły drzwi, w zamku przekręcił się klucz, ktoś zasunął dwa rygle. Potem nastąpiła cisza.

Siedzieliśmy związani, zakneblowani i zamknięci. Ale było coś, czego nikt nie zauważył: plecak, który zdarli mi z ramienia i rzucili w kąt. Nikt go nie otworzył. W środku nadal tkwiła bomba.

Pod wodą

Ostatni raz związano mnie w jednym pokoju z asystentką eskapologa, Lauren Bacardi. Spędziliśmy ze sobą sporo czasu, więc Lauren pokazała mi jedną czy dwie sztuczki. To nie znaczy, że jestem jakiś Houdini, ale czegoś się nauczyłem. Na przykład kiedy Pazur i inni owijali mnie drutem, przez cały czas napinałem mięśnie. Teraz mogłem je rozluźnić. Efekt nie był porażający, ale przynajmniej dobrze się bawiłem.

I jeszcze coś. Wprawdzie wyschłem już po kąpieli w Tamizie, ale cały świeciłem się od ropy czy oleju. Jeszcze niedawno narzekałem, że w wodzie pływają różne świństwa. Teraz się z tego cieszyłem. Moją skórę pokrywała śliska powłoka, dzięki której łatwiej mogłem wydostać się ze sznurów. Łatwiej, ale nie bez trudu. To musiało trochę potrwać.

Tim milczał przez dłuższą chwilę. Bardzo mi to odpowiadało. Nadal uważałem, że to on nas załatwił: swoim kichaniem i swoją cenną wazą. Ale kiedy na niego spojrzałem, musiałem się zlitować. Wyglądał jak karp na Wigilię.

- Nie martw się - powiedziałem. - Wydostaniemy się stąd.

Szarpnąłem, czując, że jeden sznur ślizga się po moim nadgarstku. Teraz musiałem tylko wydostać dłoń, nie urywając sobie kciuka.

- Jag? - westchnął Tim. Patrzył, jak się miotam. - Nawet jeśli się rozwiążeby zostaje problem drzwi. Są zamknięte i zaryglowane. A za nimi dzeka na nas cała arbia bandytów. Uzbrojonych. Nie mamy szans. To już koniec.

- Właśnie to chciałem usłyszeć - powiedziałem. - Grunt to pozytywne myślenie.

Może i tak, ale chwilowo trudno byłoby się zdobyć na optymizm. Tim się nie mylił. Po piętnastu minutach walki ze sznurami w pokoju ruszał się tylko jego nos.

Ale nie zamierzałem się poddać. Nic mi innego nie pozostawało. Tim drzemał oparty o ścianę. Czas płynął. Nie wiem, ile upłynęło. Nie mieliśmy ani zegarka, ani okna. Może zabrało mi to godzinę, a może dłużej, w każdym razie, kiedy już chciałem dać sobie spokój, udało mi się uwolnić lewą rękę. Była pocharatana i poobtłukiwana jak brzoskwinia w supermarkecie pod koniec dnia, ale wciąż jeszcze sprawna. Bez problemu poruszałem palcami. Pora się zmywać.

Potem wszystko potoczyło się szybciej. Odwiązałem nogi i, na końcu, prawą rękę. Kiedy wstałem, czułem się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Ale udało się. Naprawdę mi się udało. Teraz pozostawały już tylko zamknięte i zaryglowane drzwi. I armia bandytów za drzwiami.

Rozejrzałem się wokół. Pomieszczenie było bardzo długie i wąskie, podobne do mojej celi w Strangeday Hall. Na dalekim horyzoncie zobaczyłem drzwi, które z początku wziąłem za szafę. Okazało się, że prowadzą do małego korytarzyka odchodzącego pod kątem prostym od pokoju. Na końcu stał solidny mur. Stąd nie było wyjścia. I to mnie zainspirowało. Wiedziałem już, co robić.

Obudziłem Tima i zacząłem go odwiązywać, zdradzając jednocześnie szczegóły mojego planu.

- Czyś dy koblednie zwariobał? - zapytał. Katar mu się pogarszał. - Nawed o dym nie byś!! Zwiąż bnie z powrodem. Zaczegam na Parkana.

- Nie ma mowy - odparłem. Nie bardzo rozumiałem, co mówi, ale nie brzmiało to najlepiej. - Nie wiem, kim jest Parkan, ale to z pewnością ostatnia osoba, którą chciałbym spotkać.

Przypomniałem sobie, co mówił Powers. Parkan nikomu nie wybaczał. Albo nie wybaczała, dodałem w myślach.

- Dzośtyinig...

- Dzośtyinig?

- Dzoś ty, Nig...!

- Żadnych uwag. Kiedy otworzę drzwi, będziemy musieli działać szybko. Wracamy na górę - powiedziałem, wskazując palcem sufit.

- Jesteś śbirem, Nig.

- Zbirem? A co ja takiego zrobiłem? - zapytałem ostro.

- Nie zbirem. Śbirem. Kompletnie dzi odbiło.

Tim był już wolny. Rozwiązałem mu nogi i patrzyłem z podziwem, jak jednocześnie rozciera kostki, nadgarstki i nos. Otworzyłem plecak. Tim natychmiast porzucił swoje zajęcie, kiedy zobaczył bombę. Nie wiem, czy bardziej zdziwił go mój pomysł, czy fakt, że nosiłem ją ze sobą przez cały dzień.

Ręka Myszki Miki wskazywała jedenastą. Cofnąłem ją nieco, po czym sięgnąłem po przełącznik. To nie była kaszka z mleczkiem. Wcale nie miałem pewności, czy bomba teraz nie wybuchnie.

Jedyną eksplozję spowodował Tim. Trzeba przyznać, że wybrał sobie świetny moment na kichanie. Położyłem bombę przy drzwiach i tam ją zostawiłem.

- Jesteś śbirem - powtórzył Tim.

- To nasze jedyne wyjście - tłumaczyłem. - Wybuch wywali drzwi, a mury wyglądają na solidne. Nic się nie powinno stać.

- A co z nabi?

- Schowamy się tam.

Tam był korytarzyk. Spojrzałem na bombę po raz ostatni, mając nadzieję, że nie popełniam dużego błędu. Johnny Powers powiedział, że znajdujemy się pod Tamizą. Swoją drogą ciekawe, co by się z nami stało, gdyby zawalił się sufit? Mogliśmy się albo utopić, albo jeszcze przedtem zginąć pod zwałami gruzu. Każda z tych możliwości wydawała się bardziej atrakcyjna niż uduszenie albo zastrzelenie przez Parkana. Zresztą byłem pewien, że dobrze to wszystko zaplanowałem. Siła eksplozji skieruje się na zewnątrz. Zmiażdży drzwi, może strzaska kilka luster. Tim i ja wymkniemy się w zamieszaniu. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej mi się to podobało. Ale jednak starałem się za wiele o tym nie myśleć.

Poszliśmy do końca korytarzyka i wcisnęliśmy się w ścianę. Czekaliśmy. I to był ten najgorszy moment. Myślałem, że mamy dwie minuty, a trwało to chyba ze dwie godziny.

- Tim... - zacząłem.

Chciałem mu powiedzieć, jakim wspaniałym jest bratem i jak bardzo go podziwiam. Na pewno chętnie by usłyszał parę miłych kłamstw. To znaczy gdyby w ogóle mógł coś usłyszeć. Ale wbił sobie palce w uszy i zamknął oczy.

- No dobra - wymamrotałem. - Zostań tak sobie... Bomba wybuchła.

Rozległ się przeraźliwy huk, naprawdę przeraźliwy, nie po prostu głośny. Myślałem, że odpadną mi uszy. Do korytarza wdarły się kłęby dymu, zbijając mnie z nóg. Trwało to całą wieczność. Światła zamigotały, zgasły, po czym znowu słabo zabłyśły. Kiedy umilkło echo, usłyszałem stukot spadających kamieni i ostatni dźwięk, jakiego bym sobie życzył - plusk wody. Podniosłem się. Pył wciskał mi się do oczu i gardła. Spojrzałem na Tima. Dziwne, ale eksplozja rozdarła jego koszulę na pół. A może on sam ją rozdarł.

- Idziemy! - wrzasnąłem, chociaż brzmiało to raczej jak jęk schrypniętej wrony.

Przynajmniej nie musieliśmy zachować ciszy. Już z oddali dobiegały mnie krzyki. Obok szalał system wentylacyjny, cały trzeszczał i hurgotał. Znow zamigotały światła. Zataczaliśmy się w stronę celi, a raczej tego, co z niej zostało. Bomba rozwalila drzwi, ale przy okazji zdemolowała całą ścianę. Na suficie pojawiło się fatalne pęknięcie, powiększało się błyskawicznie. Przez zygzakowatą szparę lała się cienka strużka wody. Na moich oczach strużka zmieniła się w strugę i nabierała tempa. Jakaś cegła omal nie trafiła Tima. Chwyając go kurczowo, ruszyłem naprzód.

Na zewnątrz wszystko wyglądało tak, jak oczekiwałem. Nie wiedziałem, gdzie kończy się kurz, a zaczyna dym. Zresztą nie miało to znaczenia. Nie widziałem nawet palców wyciągniętej ręki. Niektóre z maszyn zapaliły się - między kłębami dymu zabłyśły tysiące iskerek. System wentylacyjny zadrżał w konwulsjach, po czym zamilkł. Trysnęło więcej iskier, błyszczących w powietrzu jak sztuczne ognie. Kiedy wahaliśmy się, co robić, nasze stopy owinał szkarłatny dym. Za nami woda, przed nami ogień, wszędzie dym. Myszka Miki zmieniła się w smoka.

Wiedziałem, dokąd biec, dopóki w ogóle jeszcze mogliśmy biec: do bramki przypominającej wjazd na parking. Już widziałem ją przed sobą, kiedy Tim wyrwał mi się i ruszył w prawo.

- Tim! - wrzasnąłem.

- Szkarłatny Paw! - odkrzyknął. - Nie mogę go zostawić!

A ja nie mogłem w to uwierzyć. Uwolniłem nas. Ciągle jeszcze mogliśmy zdążyć na powierzchnię, zanim piekło rozpęta się na dobre. A on biegł po jakąś przeklętą wazę z

dynastii Ming. Przez moment chciałem go z nią zostawić. Nie umiałem. To mój brat, odpowiadałem za niego.

Postanowiłem sobie jednak, że jeśli nikt mnie nie uprzedzi, zabiję go, kiedy tylko wydostaniemy się z tego koszmaru. Zanurzyłem się w dym. I znowu Tim wpakował mnie w kłopoty. Jak zwykle. Dobrze chociaż, że eksplozja oczyściła mu nos.

Zasłona z dymu rozstała się, kiedy dotarłem do głównego przejścia.

Właściwie nic takiego się nie stało. Bomba zniszczyła najwyżej trochę chińskiej porcelany za jakiś milion funtów. Woda zagarniała już prawie perskie dywany. Ale wszystko jeszcze jakoś się trzymało. Nawet światła działały.

Zobaczyłem tylko, jak Tim znika za kolumną, kiedy pojawił się gość z pistoletem maszynowym. Natan Pazur. Odwrócił się, a ja uskokyłem w bok, waląc głową w harfę, która wydała z siebie głośny brzdęk. Autoportret Rembrandta patrzył na mnie smutno ze ściany. Miał osiemnaście nowych oczu. Pazur biegł naprzód. Czołgałem się z głową przy ziemi w rozpaczliwym poszukiwaniu jakiejś broni albo kryjówki, a najlepiej jednego i drugiego.

- Znajdź go! Zabij go! Zabij ich obu!

Johnny Powers. Pojawił się na scenie w nieszczerólnym humorze. Krzyczał histerycznym głosem, jak dziecko, które właśnie straciło rodziców. Tej nocy załamał się nie tylko system wentylacyjny. Szaleńców rozpoznawałem po pierwszym słowie. Właśnie je usłyszałem.

Natan Pazur prawie już mnie miał, kiedy nareszcie znalazłem to, czego potrzebowałem. Pewnie pochodziło z jakiegoś sklepu z antykami. Kiedy rozglądałem się za jakąś bronią, nie myślałem raczej o średniowiecznym łuku, ale uznałem, że się nada. Założyłem strzałę. Pazur poruszał się teraz ostrożniej. Przeczolgałem się pod marmurowym stolikiem, czekając, aż wejdzie mi w pole widzenia. Nagle zobaczyłem go tuż nad sobą.

Obrócił pistolet. Zwolniłem strzałę. Łuk zadrżał mi w dłoniach i ku mojemu przerażeniu strzała przeleciała tuż nad lewym ramieniem Pazura. Całe metry nad lewym ramieniem. Pryszczaty zbior uśmiechnął się złośliwie. Strzała uderzyła w kolumnę i poszła rykoszetem w górę. Pazur zerknął na nią. Zdażył jeszcze wrzasnąć. Strzała przecięła kabel, na którym wisiał olbrzymi żyrandol, zapewne pochodzący z jakiegoś pałacu. Żyrandol runął w dół, a Pazur zniknął w eksplozji żarówek i lśniących kryształów.

Nie było czasu na wpadanie w zachwyty nad sobą. Usłyszałem Johnny'ego Powersa. Tym razem towarzyszyła mu Mamuśka.

- Uważaj na siebie, synku - powiedziała.

- Nie martw się, Mamuśka - odparł. - Znajdę tego obleśnego, śmierdzącego, kłamliwego... - tu nastąpiły różne nieparlamentarne wyrażenia.

Kryjąc się za kolumnami, przebiegłem przez galerię. Zobaczyłem Johnny'ego. Zdażył się już ubrać, a w rękę trzymał pistolet. Sześciu innych facetów ruszyło na poszukiwania. Pozostali gasili pożar. Mamuśka gdzieś zniknęła razem ze swoimi papilotami.

Na szczęście to ja pierwszy znalazłem Tima. Trzymał swojego Pawia, jakby stał właśnie w jakimś luksusowym sklepie i zamierzał go kupić. Niesamowite. Czy on naprawdę nie rozumiał, że nadal tkwimy pod ziemią i że poluje na nas zgraja uzbrojonych po zęby bandytów, którzy chcą nas zabić? Są takie chwile, kiedy Tim wydaje mi się tak samo szalony jak Johnny Powers. To była jedna z nich.

- Tim! - szepnąłem. - Może przypadkiem już skończyłeś?

- Jasne, Nick - odparł, ściskając wazę. Naprawdę się uśmiechał. Widać rzeczywiście sporo dla niego znaczyła.

- No to może byśmy tak sobie poszli?

- Nigdzie nie pójdziecie.

Powers stał parę metrów dalej. Otoczyło nas sześciu uzbrojonych ludzi. Wyglądali jak pluton egzekucyjny. I w gruncie rzeczy to był pluton egzekucyjny.

- To twój koniec, Diament - warknął Powers. Twarz wykrzywiła mu nienawiść. - Powinienem cię sprzątnąć ostatnim razem. Ale lepiej późno niż wcale. Zrobię to w tej chwili - zachichotał. - Z dużą przyjemnością.

Podniósł broń.

Wiedziałem, że to koniec. Mimo wszystko nie spodziewałem się, że nastąpi tak szybko. I że tak właśnie będzie wyglądał.

Najpierw usłyszałem strzał. Ale to nie Powers strzelał. Huk dobiegł z końca korytarza, a pistolet Johnny'ego potoczył się z łoskotem po podłodze. Sześciu mężczyzn odwróciło się, ja popatrzyłem za nimi.

Zobaczyłem nadinspektora Snape'a ze Scotland Yardu. Żywego. Uzbrojonego. I w towarzystwie dwudziestu policjantów.

- Wystarczy, Powers - powiedział. - Ręce do góry. Jesteś otoczony. Nie masz szans. Wtedy zawalił się dach.

To była zapewne tylko kwestia czasu. Powers mówił o jakichś problemach z budową tunelu. Coś tam z wapniem. Cokolwiek to było, całość czekała tylko na pretekst, żeby runąć. Eksplozja okazała się świetnym pretekstem. Podziemia zadrżały. Potem na Powersa

zwaliała się tona cegieł i kamieni. Nie widziałem, co się stało z sześcioma bandytami, bo już w następnej sekundzie nadciągnęła Tamiza. Cała.

Gdybym nie stał z boku, zginąłbym dokładnie w tej sekundzie. Zresztą i tak woda zwaliła mnie z nóg. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, był Szkarłatny Paw w ręku Tima. Potem uniosła mnie wściekła, spieniona fala. Ktoś krzyknął.

Runął kolejny fragment sufitu. Jakaś spadająca kolumna wbiła się w fortepian, zmieniając go nagle w stertę drzazg. Telewizory i wieże wirowały z prądem. Wszystko wirowało. W uszach ryczała mi rzeka.

Zaraz utonę, pomyślałem. To już koniec. Przygotuj się na spotkanie ze Stwórcą. I nie zapomnij Go spytać, czemu wpakował cię w ten syf.

Wtedy chwyciła mnie jakaś ręka i wyciągnęła na powierzchnię. Snape. Aza nim ze dwudziestu policjantów trzymających się za ręce. Ten żywy łańcuch sięgał aż do metalowej bramki. Właśnie stamtąd przyszli. Po pierwszym uderzeniu napór wody nieco zmalął. Tak musiał wyglądać tonący „Titanic”, wśród futer i klejnotów unoszących się w lodowatej wodzie. Następna kolumna złamała się jak patyk. Z góry spadała lawina gruzu.

- Tim! - krzyknąłem.

I zobaczyłem, jak płynie do mnie, pracując jedną ręką. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie tylko żył, ale w dodatku wciąż ścisnął Szkarłatnego Pawia. Ta waza przetrwała eksplozję, deszcz kamieni, powódź i nawet się nie obtłukła.

- Tędy, chłopcze - powiedział Snape.

Byłem zupełnie wyczerpany, na nic już nie miałem sił. Pozwoliłem Snape'owi ciągnąć się powódzie. Nadal nie docierało do mnie, że jeszcze żyję. No i jak on mnie znalazł?

Ale wyjaśnienia mogły poczekać.

Dwaj policjanci wyciągnęli mnie z wody. Tim dołączył do mnie ze Szkarłatnym Pawiem w objęciach.

Znaleźliśmy się na drewnianej platformie, za żelazną bramką, którą Snape właśnie zamykał. Stało tam dwudziestu policjantów, Tim, Snape i ja, a miejsca jeszcze nie brakowało. W pudełku na ścianie były dwa przyciski. Czerwony i zielony.

- Lepiej, żeby to działało - wymamrotał Snape.

Wcisnął zielony guzik.

Zazgrzytała maszyna i platforma wystrzeliła w ciemność. Przez trzydzieści sekund nie widziałem nic, ale czułem, jak wgniata mi żołądek. Teraz zrozumiałem. Wyjechaliśmy na górę. Już wiedziałem, gdzie jesteśmy. Od razu powinienem się był domyślić.

Wylądowaliśmy w samym środku „Penelopy”.

- No dobra, Snape - powiedziałem. - Gadaj. Jakim cudem żyjesz? Jak się tu dostałeś?
Co jest grane?

Siedziałem na ławce nad rzeką, owinięty kocem. Trzymałem kubek gorącej herbaty. Paw leżał w kartonowym pudełku obok mnie. Chociaż raz o ósmej rano Wapping tętniło życiem. Wszędzie stały samochody policyjne. Nieopodal działała prowizoryczna kantyna z herbatą i kanapkami. Były też dwie karetki. Ja czułem się dobrze, Tim ucierpiał wskutek szoku.

Brzegi Tamizy zaludnili konstable z sieciami. Przypominali bardziej rybaków niż policjantów. Już od godziny wyławiali rozmaite skarby. Nie tylko one wpadły w sieci policji. Mamuśka Powers została przyłapana na próbie ucieczki przez stację. Teraz ją wiążano w policyjnej furgonetce.

Kiedy wyjdzie z więzienia, będzie już Prababką Powers. Wiecie, że prawie jej współczułem? Przecież ona tylko pilnowała swojego chłopca. Moja matka nigdy nie zrobiła dla mnie nawet tego.

Johnny Powers i Natan Pazur nigdy nie zostali odnalezieni. Może obaj utonęli, ale coś czuję, że jednak udało im się zwać. Wiadomo tylko, że następnego dnia dwaj japońscy tuiyści zostali pobici nad brzegiem Tamizy i ocknęli się bez ubrań, aparatów, biletów lotniczych i kart kredytowych. Może to robota Powersa i Pazura. Może teraz kontynuują swoją kryminalną karierę w Tokio. Jeśli tak - mam nadzieję, że tam zostaną.

Najgorsze jednak, że wszystko to nic nam nie dało. Nie złapaliśmy Parkana. Nie było go w podziemnym kompleksie i nie sądziliśmy, że się pojawi. Teren otaczały policyjne kordony, na chroniące nas barierki napierały ogromne tłumy dziennikarzy i reporterów. Tamizę patrolowała policja rzeczna, a nad głowami szumiały helikoptery. Dzięki telewizji śniadaniowej cały Londyn wiedział już, co się stało. Parkan wyniósł się już pewnie daleko stąd.

- Od czego mam zacząć?

- Może od tego, jak mnie wrobiłeś? - warknąłem. Wprawdzie przed chwilą uratował mi życie, ale to jeszcze nie załatwiało sprawy. Gdyby nie on, siedziałbym sobie teraz spokojnie w szkole. O ile w mojej szkole w ogóle można spokojnie siedzieć.

Snape czuł się odrobinę winny.

- Musiałem cię wrobić - powiedział. - Nie chciałeś współpracować.

- To przestępstwo!

- Nie. To policyjna robota. Nie martw się, mój chłopcze. Wycofano już wszystkie oskarżenia przeciwko tobie. A ja starałem się nie spuszczać cię z oka.

- Taa. Skąd się tu wzięłeś?

Wypiłem lyk herbaty. Była ciepła i słodka. Czego nie dałoby się powiedzieć o Snapie.

- Śledziłem cię - wytłumaczył Snape. - Przez cały dzień miałem cię na radarze.

- Jakim cudem?

- Twoje buty. - Wskazał Snape. - Twoje więzienne buty. W każdym z obcasów jest znakomite urządzenie naprowadzające.

- Czyli... - Nagle wszystko zrozumiałem. - To ciebie widziałem w Clapham. To ty mnie odciąłeś!

- Zgadza się - przytaknął Snape. - Widziałem, jak złapał cię gang Dużego Eda. Śledziliśmy was. Kiedy zostawili cię na torach, pomogłem ci.

- Dzięki...

- To samo dzisiaj - ciągnął Snape. - Przyszliśmy za tobą nad rzekę. Zgadłem, że znalazłeś Parkana. Wtedy poszliśmy po ciebie.

- Nie spieszyłeś się.

- Czekaliśmy na Parkana.

- Taa. No cóż, wygląda na - to, że uciekł.

- Nie martw się, chłopcze. Grunt, że rozbiliśmy jego organizację. Ktoś z gangu będzie sypał. Jeszcze go dorwiemy.

- Świetnie, tylko wolałbym, żebyście nie potrzebowali więcej mojej pomocy.

Skończyłem herbatę. Pierwszy gorący napój od trzydziestu sześciu godzin.

- Jakim cudem nie zginąłeś? - zapytałem. - Widziałem cię... w samochodzie.

- Miałem szczęście. Siedziałem z tyłu. Oberwało nam drzwi i wyleciałem, zanim samochód wybuchł. Kierowcy także udało się uciec. Potem wróciliśmy po Boyle'a.

- Nie żyje?

- Żyje, chociaż ledwo dycha. Leży w szpitalu z poparzeniami trzeciego stopnia.

- Łamiesz mi serce, Snape - powiedziałem. - Poślę mu kwiatki.

- Ładnie z twojej strony, chłopcze.

- Jasne. Pokrzywy.

Może byłem nieco okrutny. Ale popatrzcie na to inaczej. Zostałem wrobiony, skazany i zamknięty w więzieniu.

Przeżyłem groźby, pościg, strzelaninę, porwanie i pobicie. Przywiązali mnie do torów, zmontowali dla mnie bombę, jeszcze trochę pogrozili i znów mnie związali. Omal się nie utopiłem i byłem trochę wyczerpany. I to wszystko dla dwóch policjantów, którzy nawet nie

złapali tego, kogo chcieli. W dodatku nie dano mi żadnego wyboru. I co ja będę z tego miał oprócz dodatkowej pracy domowej w szkole?

- Nie będzie tak źle - zapewnił mnie Snape. - Dostaniesz nagrodę z towarzystwa ubezpieczeniowego za to, co uda się uratować. Coś tam się uzbiera.

Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na zamieszanie wokół nas. Ziewnąłem. Byłem zmęczony jak pies. Marzyłem tylko o łóżku. Zgodziłbym się nawet na budę.

Wtedy zjawił się Tim. Lekarze już udzielili mu pomocy. Ktoś pożyczył mu kurtkę. Wyglądał znacznie lepiej ode mnie. Właściwie całkiem wrócił do siebie. To znaczy nie dało się z nim wytrzymać.

- Cześć, Nick! - powiedział, uśmiechając się.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem. Wyszczrzył zęby.

- To moja największa sprawa. Będę sławny. Człowiek, który dorwał Johnny'ego Powersa.

- A ja?

- Trochę pomogłeś, mały. Może nawet podzielę się z tobą nagrodą. Zapomnę o tym piątku, którego mi wisisz.

Poklepał mnie protekcyjnie po ramieniu. Miałem ochotę go zdzielić.

- British Museum sporo mi zapłaci za odnalezienie Szkarłatnego Pawia - ciągnął. - A właśnie, gdzie on jest?

Mówiąc to, usiadł. Był tak zaabsorbowany sobą, że nie patrzył, co robi. Widziałem, jak jego tyłek miękko opada na karton. Pudełko zgięło się, ze środka dobiegł stłumiony chrzęst. Twarz Tima nagle zbielała.

Szkarłatny Paw został skradziony w Camden. Trafił aż do Wapping. Przetrwał eksplozję i potop. Ale dopiero Timowi udało się go wykończyć.

Mój brat po prostu na nim usiadł.

Ostatnia lekcja francuskiego

Wszystko skończyło się dokładnie tak samo, jak się zaczęło - lekcją francuskiego w gorące popołudnie.

C'était un dimanche matin et iQ faisait cliaud. cAntoine et tykilip étaient dans le champ euk po doimait dans une ckaise-longue. Quelquun h appelait de l'aube côté de la palissade. C'était leuà cjiandmèhe.

Q/oule-i/ous jouet au football?- demand-t-elle.

To ćwiczenie widniało na tablicy, a my mieliśmy je głośno tłumaczyć. Palis wyczytywał nazwisko i jakaś biedna dusza wstawiała i walczyła z kolejnym zdaniem. Dopóki nie dotarła do kropki, nie mogła usiąść. Czy tłumaczenia z francuskiego muszą być takie głupie? Wyciskasz z siebie siódme poty, żeby przełożyć je na angielski tylko po to, by stwierdzić, że nie były tego warte. Na szczęście to ćwiczenie już dawno zrobiłem. Jeśli mnie wyczyta, poradzę sobie.

- Sington!

- To był... eee... *dimanche*... niedzielny poranek i robiło ciepło.

- Było gorąco, ty głupcze!

Od naszej ucieczki z „Penelopy” minęły już dwa tygodnie. W gazetach to wydarzenie przebyło drogę od nagłówków na okładce poprzez komentarze na drugiej stronie aż do kilkulinijkowych wzmianek na trzeciej. Tak czy inaczej, prasa więcej przemilczała, niż napisała. Nikt na przykład nie wspomniał o Timie czy o mnie. To była sprawka Snape’a. Powiedział, że będzie dla mnie lepiej, jeśli nie połączą mojego nazwiska z tą sprawą. Dla Snape’a też, pomyślałem. Brytyjska opinia publiczna nie przyjęłaby najlepiej wiadomości, że brytyjska policja wrabia i szantażuje brytyjskie dzieci. To po prostu nie jest zbyt brytyjskie.

- Siadaj, Sington. Goodman!

- Ja, proszę pana?

- Tak ty, Goodman.

- Antoine i Phillipc byli na polu, proszę pana.

W końcu dostałem czterolinijkową wzmiankę w którymś dzienniku. Powiedzieli, że „w świetle nowych dowodów” zwolniono mnie ze Strangeday Hall. Innymi słowy, oczyścili moje nazwisko. Tylko że Snape i inne grube ryby robili, co mogli, żeby to nazwisko nie stało się zbyt znane.

- Hopkins!

- Ich ojciec spał na szezlongu.

- *Exactement.*

Oczywiście, po powrocie do szkoły znajdowałem się w centrum zainteresowania. Dyrektor wygłosił o mnie mowę. Wszyscy robili mi mnóstwo kawałów. Ale ludzie zaskakująco szybko zapominają. Po kilku dniach wszystko wróciło do normy. No i rzecz jasna, dostałem dodatkową pracę domową. Tyle że można by wypełnić dodatkowy dom. Już nie byłem bohaterem. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek nim byłem.

Palis też się zmienił. Wrócił do swojego dawnego wcielenia - sarkastycznego i szarpiącego za uszy. Prawie się do mnie nie odzywał. Może chciał zapomnieć o tamtym

wspólnie spędzonym wieczorze. Nie mówiłem nic o jego udziale w całej sprawie. Pomyślałem, że tak będzie wolał. Ale mógł chociaż wspomnieć, że cieszy się, widząc mnie żywego.

- Simple!

Wywołał mnie, więc wstałem. W klasie zrobiło się gorąco i duszno. Słońce paliło. Z trudem koncentrowałem się na wyrazach. Ktoś zrobił coś z drugiej strony palisady?

Przypomniałem sobie.

- Ktoś krzyknął do nich z drugiej strony parkanu.

- Tak. Zgadza się, Simple. Teraz - Buckingham! Następne zdanie...

Usiadłem.

Huczało mi w głowic, po skórze spływał pot. Przez chwilę myślałem, że jestem chory. Ale to nie to. Głosy kolegów dochodziły mnie z oddali. Wbiłem wzrok w tablicę. Zobaczyłem coś, przeczytałem coś, co nie zgadzało mi się strasznie. A może po prostu było straszne.

Francuskie słowa napisane pajęczym pismem Palisa skakały mi przed oczami. Popatrzyłem na zdanie, które właśnie przetłumaczyłem.

Quelqu'un les appelait de l'autre côté de lapalissade.

Parkan! To było to. Sam to powiedziałem. Parkan - *la palissade*.

Palissade.

Palis.

To niemożliwe - zbieg okoliczności. Zerknąłem na nauczyciela. Mówił do kogoś innego, ale patrzył cały czas na mnie. Uśmiechał się okrutnie.

Nagle wszystko zaczęło pasować. Palis to Parkan. Nikt inny nie mógł nim być.

Snape powiedział mi, że Parkan może ukrywać się jako zwykły obywatel - na przykład bankier albo sklepikarz. Albo nauczyciel. Wolne popołudnia, długie wakacje - czy może być lepsza przykrywka? Snape pewnie podejrzewał go od początku.

Ta myśl zmroziła mnie jak kubeł lodu. To z tego powodu do swojej brudnej roboty wybrał akurat mnie. Przewidział, że Powers ucieknie ze Strangeday Hall. Miał nadzieję, że zwięję razem z nim. Dlatego przypadkiem był na miejscu w noc naszej ucieczki. Gdybym spotkał Parkana, na pewno bym go rozpoznał. I gdyby to rozpoznanie oznaczało mój koniec, okazałoby się tylko, że Snape od początku miał rację.

Palis...

Powoli wszystko mi się rozjaśniło. Fragmenty układanki po kolei wskakiwały na swoje miejsce. Już na wycieczce do opactwa Woburn zdziwiłem się, ile ten nauczyciel francuskiego wie o antykach. Parkan oczywiście musiał się na nich znać.

Potem to jego mieszkanie - drogie mieszkanie w Chelsea. Zastanawiałem się, skąd wytrzasnął na nie pieniądze. I obraży! Myślałem, że oglądam kopie Picassa. Myliłem się. To były oryginały!

Schrzaniłem sprawę, jeszcze zanim wszedłem. Palis uratował mnie przed policją, bo sądził, że jestem po jego stronie. W mieszkaniu zamierzał mi o wszystkim powiedzieć.

Dziękuję, że mnie pan nie wydał...

No cóż, miałem swoje powody...

Już chciał mi wyznać, że Parkan to on, ale zanim zdążył to zrobić, wszystko spartoliłem. Powiedziałem mu, że pracuję dla policji, i tym samym przypieczętowałem swój los.

Nic dziwnego, że następnego dnia tak się spieszył, opuszczając Wapping. Wiedział o bombie, bo w nocy dzwonił do Powersa. Słyszałem nawet dzwonek, ale myślałem, że to sen. Przeze mnie wyciągnęli z łóżka biednego Tima. Palis zaplanował wszystko z zimną krwią. Odwiózł mnie, sądząc, że to ostatnia podróż, jaką w życiu odbędę. W każdym razie jeszcze w jednym kawałku.

Palis...

Trzask zamykanych książek i szuranie odsuwanych krzeseł sprowadziły mnie na ziemię. Zerknąłem na zegar. Wpół do czwartej, koniec lekcji. Już teraz dzieciaki zbiegały po korytarzach, a szkoła pustoszała.

Co zamierzał Palis? Wiedział, że już wiem? Bez wątplenia. Specjalnie dał mi to właśnie zdanie. Był skończony i zdawał sobie z tego sprawę.

Ale zamierzał pociągnąć mnie za sobą.

- Na dzisiaj dziękuję - mówił. - *Malheureusement* w przyszłym tygodniu nie będzie mnie z wami. Jadę na wakacje. Długie wakacje. Już nie wrócę.

W klasie rozległ się jęk rozczarowania - niezbyt szczery oczywiście. Nawet gdyby Palis spadł z mostu, nikt nie czułby się specjalnie rozczarowany.

- Możecie już iść - ciągnął. - Tylko Simple niech zostanie. - Rzucił te cztery słowa jak sztylety.

Moje palce zacisnęły się na krawędzi biurka. Wszyscy poza mną wstali i zaczęli się zmywać. Palis wsunął rękę pod marynarkę. Ruch wyglądał naturalnie, ale domyślałem się niestety, co tam trzyma. Co mogłem zrobić? Gdybym rzucił się do drzwi, zaczęłyby strzelać i na pewno by się nie przejął, że przy okazji postrzeli jeszcze parę osób. Gdybym został z nim sam na sam, nie miałbym żadnych szans. Następnego dnia znów napisaliby o mnie w gazetach. W dziale nekrologów.

Była tylko jedna nadzieja. Dał mi do zrozumienia, że to on jest Parkanem. Wiedział, że o tym wiem. Ale czy wiedział, że ja wiem, że on wie, że ja wiem? Rozumiecie? Ja widziałem w tym sens.

Z niewinną miną stanąłem naprzeciw jego biurka. Między nami piętrzyła się ogromna sterta podręczników. Oparłem ręce tuż pod tą stertą. W klasie zostało już tylko siedmiu czy ośmiu chłopców, tłoczyli się przy wyjściu.

- Czy chodzi o tłumaczenie, proszę pana? - zapytałem.

- Nie - mruknął zdziwiony, zastanawiając się, czy aby nie jestem głupszy, niż sądził. I właśnie tak miał myśleć.

- Zrobiłem już wszystkie dodatkowe ćwiczenia, które mi pan zadał - ciągnąłem.

- Nie chodzi mi o to.

Udałem, że drapię się w nos, żeby kątem oka wyrzeć na korytarz. Droga wolna.

- Panie Palis...? - powiedziałem.

W tym samym momencie wyrzuciłem obie ręce do góry. Już wyciągał pistolet, ale wzięłem go z zaskoczenia. Książki uderzyły go w twarz. Stracił równowagę. W tej samej chwili zerwałem się do biegu. Dotarłem do drzwi, zanim się podniósł. Po chwili futryna pękła z nagłym trzaskiem.

Zwiałem. Ale nie uciekłem daleko.

Palis miał pistolet z tłumikiem. Nikt nie usłyszał pierwszego strzału. Nikt nie wiedział, że coś jest nie tak. Spojrzałem w lewo. Główne wejście tarasował tłum ludzi wysypujących się na dziedziniec. Pobiegłem w drugą stronę, przemknąłem przez korytarz i walnąłem w gaśnicę. Drugi strzał rozbił ją z głośnym brzdękiem. Błyskawicznie pokonałem róg, wpadając na pana Robertsa, który właśnie opuszczał jedną z klas.

- Simple...! - zaczął.

Kolejny pocisk przeszył sześć tomów *Historii średniowiecza* i wbił się w ramię pana Robertsa. Historyk krzyknął i stracił przytomność. Przeleciałem nad nim i pobiegłem dalej.

Dotarłem do schodów. Przeskakując po trzy stopnie, wpadłem na pierwsze piętro. Stara fotografia szkolnej drużyny krykieta nagle odskoczyła od ściany tuż nad moim ramieniem. Z nagłym przyplływem energii wskoczyłem na drugie piętro, potem na trzecie.

Nawet wtedy zadawałem sobie pytanie: Gdzie jest Snape? Jeśli podejrzewał Palisa, musiał być gdzieś w pobliżu. Chyba że życzył mi tak dobrze jak Parkan.

Na najwyższym piętrze znajdowały się pracownie biologiczne i fizyczne. Zajęcia pewnie skończyły się już dawno. Sale były kompletnie puste. Żadnej drogi ucieczki. Żadnych zbędnych świadków. Wślizgnąłem się do pracowni biologicznej. Ze szklanej gabloty gapił się

na mnie pokrojony szczur. Obok palnika gazowego leżała uśmiechnięta czaszka. Może Palis mnie tu nie znajdzie?

Jednak mnie znalazł. Znowu stłumiony gwizd i czaszka rozprysnęła się na kawałki, trafiona między oczodoły. Rzuciłem się pod ławkę. Parkan wszedł do sali.

Na szczęście zasłony przepuszczały mało światła. Czołgałem się za ławką, która zajmowała całą długość klasy. Kiedy sunąłem w jedną stronę, Palis szedł w drugą. Słyszałem kroki, ale go nie widziałem. Nie śmiałem spojrzeć.

Za moimi plecami znajdowały się półki. Każdą wypełniał rząd butelek z różnokolorowymi płynami. Kiedy otworzyłem jedną z nich, od samego zapachu zaczęły mi łzawić oczy.

Palis zatrzymał się, oddychając głęboko. Obliczyłem, że stoi tylko kilka metrów ode mnie po drugiej stronie ławki. Wyprostowałem się. Rzeczywiście tam był. Strzelił.

Cisnąłem butelkę.

Pocisk Palisa trafił mnie w rękę i rzucił o ścianę. Moja butelka wyładowała mu na twarzy, a jej zawartość rozlała się po całym ciele. Wrzasnął i zaczął pięściami trzeć oczy. Zobaczyłem, że zaczął lekko dymić. Podtrzymując zranioną rękę, wybiegłem chwiejnie z pracowni.

Naprzeciwko zobaczyłem otwarte drzwi. Wciąż ściskając rękę, minąłem je i wbiegłem na kolejne schody. Nie wiedziałem już, gdzie jestem. Chciałem po prostu uciec jak najdalej od Palisa. Boże, co ja mu zrobiłem? Co właściwie było w tej butelce, kwas siarkowy? Fatalnie...

Zatrzymałem się na dachu. Na wielkim płaskim dachu, piętnaście metrów nad ziemią. Dalej już nie mogłem biec. Ale przynajmniej jedno mnie pocieszało - usłyszałem syreny. Zerknąłem w dół i zobaczyłem samochody pędzące w stronę szkoły. Wciąż kręciło się tu sporo ludzi. Teraz dołączyła do nich dywizja uzbrojonych policjantów, którzy wyskakiwali z wozów i zajmowali pozycje wokół budynku. Snape jak zwykle się spóźnił. Ale wreszcie się zjawił.

- Simple...

Palis stał w przejściu, starając się utrzymać pistolet w jednej pozycji. Nie wyglądał najlepiej. Połowę jego twarzy pokrywały białe blizny. Jedno oko miał zamknięte, drugie krwawiło. Połowa włosów chyba poszła z dymem.

- Zniszczyłeś wszystko - syczał Palis. - Moją organizację. Trud całego życia.

- Jesteś skończony, Parkan - powiedziałem. - To twoja ostatnia posada.

- *Oui* Ale zabieram cię ze sobą, Simple. Nikt nie odbierze mi tej satysfakcji.

Pociągnął za spust.

Nic się nie stało. Wystrzelił sześć kul. Siódmej już nie miał.

Wrzasnął i zaszarżował na mnie jak wściekły byk. Odskoczyłem. Nie zdołał się zatrzymać. Runął w dół. Lecąc, ciągle jeszcze krzyczał. Nagle wrzask ucichł.

Wyrzależem przez krawędź dachu. To nie był ładny widok.

Parkan nadział się na parkan.

Dziesięć minut później wyszedłem ze szkoły. Ramię zwisało mi bezwładnie, koszula przesiąkała krwią. Chcieli położyć mnie na noszach, ja jednak wołałem wyjść o własnych siłach.

Opactwo Woburn, Strangeday Hall, wreszcie to... specjalnie się nie ubawiłem. Ale przynajmniej byłem jeszcze żywy. I tylko to się liczyło. Życie nie musi być wcale takie złe, jeżeli tylko nie dasz się pogrążyć. Mógłbym się skarżyć, ale wolę po prostu iść przed siebie. I wziąć od życia, ile się tylko da.